

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



*Jadwiga Łuszczewska*

# **PAMIĘTNIK DEOTYMY**

1834 – 1897

# I

## WIECZORY PONIEDZIAŁKOWE

Początek ich sięga jeszcze 1834 r.

Warszawa, tylko co dotknięta szeregiem ciężkich wstrząśnień politycznych, była wtedy zupełnie głucha i obumarła. Pierwszy dom moich rodziców dał hasło do rozbudzenia umysłów i do wskrzeszenia życia towarzyskiego.

Mój ojciec i moja matka byli naówczas młodą parą, zaledwie od pięciu lat pobraną; żadne z nich nie liczyło jeszcze lat trzydziestu. Wieczory u nich nie zostały bynajmniej przedsięwzięte w uroczystym celu otworzenia „salonu literackiego”; był to po prostu dzień wybrany w tygodniu dla przyjmowania przyjaciół i znajomych.

Ale oboje gospodarstwo nosili na sobie cechy wyjątkowe, a przyjaciół i znajomych mądrze umieli dobierać. Toteż nie minęło wiele czasu, a już dom ich przyciągnął wszystko, co było najlepszego w stolicy i kraju, i zaczął wzajem na nie promieniować.

Rodzice moi mieszkali wtedy na Nowym Świecie w tak zwanej Kamienicy Misjonarskiej, stojącej naprzeciw pałacu książąt Sapiechów (późniejszego domu Andrzeja Zamoyskiego). Mieszkanie było nieduże, umeblowane ładnie, chociaż bez przepychu, po obywatelsku. W niebieskim saloniku zbierało się kółko nieliczne, ale za to tak wyborne, że jeszcze w kilkanaście lat później, za czasu najświetniejszych tłumnych poniedziałków, słyszałam, jak moja matka wspominała z żalem owe pierwotne zebranka i twierdziła, że ze wszystkich te były najrozkoszniejsze, bo wtedy zgromadzały się tylko same osobistości wybitne, wtedy toczono porządne rozprawy religijne i filozoficzne lub wyprawiano szermierkę na błyszczące dowcipy.

Bywała tam hr. Rozalia Rzewuska, słynna z nieszczęść i z rozumu, zaprzyjaźniona z moją matką, której dawno wróżyła wielki wpływ na społeczeństwo nasze, bo zawsze w niej dostrzegала dar podniecania i jednoczenia umysłów. Bywała i jej córka, nie mniej rozumna, Kaliksta Rzewuska (późniejsza księżna Teano), której co prawda nie pamiętam, ale o której męskich poglądach i lapidarnych orzeczeniach nasłuchiwałam się niemało dziwów.

Bywał minister Stanisław Grabowski, którego rozmowa oryginalna i paradoksalna była nieustannym fajerwerkiem. Bywał Stanisław Kossakowski (ojciec, przedstawiający się wtedy w całej świetności swego powabu i dowcipu. Bywał doktor Sauvan, sławny lekarz, porywczy myśliciel, cięty protestant, który pod wpływem mojej matki powoli zmienił przekonania i przed samą śmiercią przeszedł na katolicyzm.

Wiele jeszcze innych nazwisk przesuwają mi się przez pamięć, ale nie śmiem ich tu kłaść na domysł, bo z owych czasów nie posiadam żadnych piśmiennych dowodów. Dopiero w roku 1842 ojciec mój wpadł na wyborny pomysł zapisywania gości poniedziałkowych. Czynił to odtąd wiernie przez lat kilka. Potem te zapisy prowadziła dalej moja siostra, potem ja się ich podjęłam, i tak powstał rodzaj kroniczki, która wprawdzie jest niezupełna, bo pocięta kilku znacznymi przerwami, jednak daje wyobrażenie o przebiegu lat owych i dzisiaj dla mnie stanowi nieoszacowaną pamiątkę.

2. W chwili, gdy się te zapisy zaczynają, to jest w połowie r. 1842, mieszkaliśmy już gdzie indziej. Przeprowadzka była niedaleką, bo tylko naprzeciw, do tego pałacu Sapiechów, którego dziedziniec z okrągłym trawnikiem i złoconą kratą przez lat kilka rysował się pokuśnie przed

naszymi oknami. Księżna Sapieżyna, mieszkając wciąż za granicą, odnajęła nam połowę swego apartamentu. Był on na dole, bardzo piękny: Okna wewnętrzne, sięgające od sufitów do posadzek, tworzyły szereg drzwi szklanych, wychodzących na ogród. Ów ogród, wyjątkowo spory, posiadał mnóstwo starych lip i kasztanów, miał i trochę kwiatów, i winniczkę.

Przyjęcia odbywały się tu w dwóch pokojach. Najpierw witał gościa salon obszerny o trzech drzwiach ogrodowych, o ścianach jasnożółtych, ubranych szeregiem portretów rodzinnych. (Odtąd w każdym już mieszkaniu salon zawsze był u nas żółty, bo doszliśmy do przekonania, że taki najweselsiej się oświeca). W salonie tym, przy meblach pokrytych czarnym włosiem, stały różne serwantki oraz szafki lustrzane, a w nich pełno brązów, zegarów, drogocennych fraszek, przeważnie zaś mnóstwo filiżanek cudnie malowanych, których widokiem dziecięce moje oczy nigdy się dosyć nasycić nie mogły.

Za salonem był pokój mojej matki o dwóch oknach „angielskich” (to jest podnoszonych w górę), z piękną biblioteczką i marmurowym kominkiem, przy którym w zimie goście lubili się zgromadzać. Na ścianach jasnozielonych widniały różne posąжки, jako to Joanny d'Arc i Kopernika, a zwłaszcza jaśniały dwa obrazy, przedstawiające dwie Sybille; były to piękne kopie Dąbrowskiego, zdjęte z Tycjana i Guerina. Mniejsze zebrania poniedziałkowe odbywały się w zielonym pokoju; gdy więcej gości przyszło, krążono po salonie, a w pogodne letnie wieczory zasiadano nieraz w ogrodzie, przy świetle błękitnej lampy, nad którą szumiące drzewa tworzyły nieprzeniknione sklepienie.

W obszerniejszym mieszkaniu kółko poniedziałkowe mocno się rozszerzyło. Zapisy coraz gęściej wspominają imiona znane w literaturze. Spotykamy tam często Aleksandra Tyszyńskiego, małego człowieczka o czarnej a mądrej głowie, o zycznym sercu i przedziwnym piórze. Przy nim zjawia się Feliks Zieliński, także nieduży, cieniutki, z profilu przypominający Napoleona w czasach Konsulatu, trzeźwy publicysta, w rozmowie żwawy, ale uszczypliwy, jak osa. Ci dwaj byli przez lat kilkanaście tak wierni naszym zebraniom, że trzeba ze świecą szukać poniedziałku, gdzie by nie stały ich nazwiska. Często też wówczas gościem jest Michał Baliński, złote serce, złoty humor, szacowny pisarz, uroczysty towarzysz zabawy. Szkoda, że po kilku latach powrócił na Litwę i zastawił po sobie niczym nie zastąpioną próżnię.

Z literatów był jeszcze Antoni Szabrański, trochę ciężki, ale zacny i czytany, Henryk Lewestam o wykwinnym umyśle i głosie, Gustaw Zieliński, stojący wówczas w całej pełni swojej urody i poetycznego rozgłosu, na koniec Dionizy Minasowicz, szpetny jak strach, ale podbijający wszystkich swoim zapałem do ideału i poezji, fanatyk Schillera, wielki przyjaciel naszego domu. Zaczął bywać i Wójcicki, jeszcze może szpetniejszy od pana Dionizego, człowiek płytkiej wiedzy i mizernej uprzejmości, w każdym razie jednak pożyteczny szperacz starych rzeczy.

Z artystów znajdują dwóch: jednym jest January Suchodolski, równie dzielny żołnierz, jak malarz, równie nadobny, jak złośliwy. Drugim - budowniczy Idźkowski; człowiek jedwabny w stosunkach towarzyskich.

Sporo w owym czasie bywało duchownych: arcyważny prałat Dekert; młody jeszcze, ale już chciwie słuchany, ksiądz Bogdan, a przede wszystkim kanonik Mętlewicz, równie wymowny w towarzystwie, jak uczonego pisarz.

Rosła też w salonie i ciężka armia profesorów: astronom Jan Baranowski, człowiek cichy, z rysów dziwnie podobny do Brodzińskiego, oraz towarzysz jego, młodzieńki Prażmowski, co miał profil i ruchliwość ptaka; dalej geolog Zejszner, trochę zasuszony kawaler, zakochany tylko w nauce i Tatrach, o których cuda już wtedy rozgłaszał, choć jego następcom się wydaje, że oni dopiero wynaleźli Karpaty; — na koniec Antoni Waga, entomolog europejskiej sławy, encyklopedia wszech nauk chodząca, oryginał, jakiego świat nie widział, pochlebny i zabawny, ale zdradny, bo szydzący ze wszystkich i wszystkiego. W r. 1843

zjawia się Aleksander Przeddziecki, młody jeszcze, a już zapracowany w dziełach literackich i archeologicznych.

Całą falangą bywają Łubieńscy: Jan, Henryk, generał Tomasz, a zwłaszcza syn jego, Leon, ten dyktator pięknego towarzystwa, o którym matka moja opowiadała, że „kiedy wejdzie do salonu, to jakby tam wniesiono zapaloną lampę”. On to powiedział o domu moich rodziców:

- Ce n'est pas un salon, c'est une institution.

Słowa te nieraz później przekreślano, nieraz je mniej lub więcej szczęśliwie do innych okoliczności przystosowywano, ale właściwie należą się one wieczorom poniedziałkowym i sięgają jeszcze owych czasów, bo już w dzieciństwie je słyszałam.

Z innej młodzieży najczęściej przedstawiają się w zapisach: Ludwik Górski, szerzący już pojęcia Ozanama; Wincenty Grzymała, młodzieniaszek figlarny i muzykalny, wreszcie Edmund Chojecki, ładny blondyn o mdlejącym wejrzeniu i roztęsknionym głosie, którym lubił deklamować poezje, wypowiedane z przesadą, ale i z pewnym wdziękiem.

Z przejezdnych zjawia się czasem, tylko co ze szkół wyszły, a już sypiący iskrami, istny Chochlik, Roger Raczyński; czasem z wiejskiej swej pustelni przybywa, pełen wymowy i cnotliwego zapachu, filozof Gołuchowski; czasem, równie zapalony, ale twardszy i surowszy, Paweł Popiel; niekiedy margrabia Aleksander Wielopolski zjeżdża ze swego Chrobrza, gdzie przez trzydzieści lat kuje wielkie plany, za każdym pobycem nie omieszkuje uczęszczać na ulubione sobie :poniedziałki, gdzie już wszystkich zdumiewa swoją magnacką nieprzystępnością i majestatem godnym wielkiego Buddy.

Czasem zjawiają się i dalsi goście. I tak, w 1842 r. jaśniej na poniedziałkach Karol Estridge, podróżnik angielski, o którego rozumie i uroku jeszcze we dwadzieścia lat później rodzice moi wspominali.

W następnym roku 1843 zjechał do Warszawy starozakonny, profesor Dänemarck, z przydomkiem der Wundermann, albowiem umiał na pamięć całe Pismo święte. Zaproszony do nas, jako rzadkie curiosum, był na wieczorze 23 stycznia. Pamiętam go doskonale, bo choć byłam dopiero ośmioletnią dziewczynką, zawołano mnie wtedy wyjątkowo do gości, ażebym i ja się też przypatrzyła „cudownemu człowiekowi”. Postać to najbardziej rabiniczna, jaką kiedykolwiek widziałam. Siedział w czarnej jedwabnej symarze, z białą po pas brodą, z twarzą jak śmierć poważną. Przed nim leżały rozwarte stare, ogromne księgi. Kręcił się też przy nim czarnobrody pan Goldschmidt, także zapewne rabin czy podrabin, towarzysz jego i jakoby „Kornak”, bo z wielkim niepokojem śledził próby, na jakie brano Wundermanna. Goście kolejno przystępowali do infoliów i, przerzucając karty, na wrywki wymieniali numer żądanego wersetu. Mędrzec, po chwili namysłu, odpowiadał powoli, a zawsze szczęśliwie. W jakim odpowiadał języku, nie wiem dokładnie, zdaje mi się, że w niemieckim. Co wiem tylko na pewno, bo mnie ten szczegół mocno wówczas uderzył, to że przy każdym namyśle malowało się na jego twarzy bolesne wysilenie, dowodzące, jak wiele go musiała kosztować ta szalona praca pamięci.

W tymże roku 1843 spotykam pomiędzy gośćmi poniedziałkowymi drugiego podróżnika angielskiego, pana Johna, oraz Francuza-melomana, m-r le Chevalier de Gonnet, *qui disait la Romance*, jak nikt w świecie.

Damskie towarzystwo bywało zapraszane oszczędnie i oględnie. Matka moja twierdziła, że aby rozmowa szła dobrze, trzeba mieć co najmniej dwa razy tyle panów co pań, i to pań wyborowych. Bała się jak ognia tych pustych lalek i tych szarych gęsi z gąskami, co to obszedłszy salon w koluteńko, zmieniają go na świątynię nudów, podczas gdy mężczyźni, stojąc pod piecem lub drzwi podpierając, przypatrują się im beczynnemu, a przy pierwszej sposobności czmychają do bocznych pokoi, aby tam się bawić między sobą. Wabiła więc tylko te damy, które się odznaczały rozumem, talentem albo przynajmniej wyjątkową pięknnością.

Bywała tedy pani wojewodzina Nakwaska, autorka co prawda poślednia, osoba mało

przyjemna, bo gadająca wszystkim prawdy (czytaj: niegrzeczności), ale szanowana dla wieku i napoleońskich tradycji; bywała wytworna i złośliwa pani Rautenstrauchowa; powabna i cięta pani Katarzyna Lewocka; ładniutka i milutka panna Walentyna Trojanowska; bywała na koniec Narcyza Żmichowska, którą moja matka pierwsza wyprowadziła z ukrycia i postawiła na towarzyskim świeczniku, wynosząc pod niebiosa jej poezje, których nikt jeszcze wówczas nie znał, ni oceniał. (Za co, mówiąc nawiasem, Gabriela odplaciła jej się później gorzką niewdzięcznością.)

Z dam, świetniejących urodą, odznaczały się głównie: hr. Franciszkowa Potocka, postać prawdziwie Tycjanowska - i anielsko-przejrzysta pani Kalergis - obie wysoce muzykalne. Ale po co było szukać obcych bogiń, kiedy w domu jaśniała istna czarodziejka? Matka moja, słynna z piękności, miała rysy fantastyczne a lá Greuze, płeć śnieżną, łatwo bijącą rumieńcami, ramiona i ręce klasyczne, oczy Włoszki, chód Hiszpanki. Wszystko to tworzyło całość tak olśniewającą, że nawet dziesięć lat później, choć już starszą córkę za męża wydała, choć już była babką, jeszcze gdy szła ze mną przez ulicę, to ludzie na jej widok stawali w zachwycie, a mnie serce rosło z dumy i radości. Posiadała też w najwyższym stopniu to, co Francuzi nazywają „taktem”, a co jest może najważniejszym kluczem do towarzyskich powodzeń. Posiadała przy tym i rzadki dar wymowy, to głębokiej, to błyskotliwej; słynęła z prześlicznego sposobu opowiadania; ale na zebraniach poniedziałkowych rzadko kto ją słyszał dłużej przemawiającą, bo tak zawsze kierowała rozmową, ażeby nie sobie, ale swoim gościom otwierać pole do popisu.

Ojciec mój, nie lubiący zwracać na siebie ludzkich oczu, równie chętnie w cień się usuwał, i tak oboje, choć niezwykajnie wykształceni, choć wybornie piszący, kryli się ze swymi darami, a skwapliwie wynosili cudze. Stąd powstało znane wówczas orzeczenie, że: „każdemu z gości, opuszczających wieczór poniedziałkowy zdawało się, iż był na nim najważniejszą osobą.”

Trudno mi tu jeszcze nie dorzucić jednego rysu, który najlepiej maluje skromność i rycerskość mego ojca. Twierdził on zawsze i powtarzał, że ponieważ dom jest wyłącznym królestwem kobiety, a salon wdzięczną areną jej wpływu, zatem i zebrania poniedziałkowe są wyłącznym dziełem pani domu. A jednak, ileż on sam się do tego dzieła przyczyniał tak niezmiernymi zabiegami, jak szczeropolską swoją gościnnością, a zwłaszcza tym wspaniałym szacunkiem, jaki sobie od młodu umiał u wszystkich zjednać!

Na poniedziałkowych to wieczorach, pod natchnieniem mego ojca, jeszcze w r. 1840, powstał pierwszy zaczątek „Biblioteki Warszawskiej”, która też zaraz z początkiem 1841 r. zaczęła wychodzić. Odtąd aż po koniec życia zawsze należał do jej składu, serdecznie zajmował się jej losem, zasilając ją niekiedy pracami swego pióra, i stale uczęszczał na środowe sesje redakcyjne, które bardzo lubił, jako miejsce poważnej, a razem poufnej pogadanki.

Rok 1844 przyniósł liczny zastęp znakomitości. A naprzód w gronie dam zasiadła pani Eleonora Ziemięcka, szczupła brunetka o nadobnych rysach, o płomiennych a słodkich oczach, malujących dobrze jej duszę i wymowę. Szła ona wtedy właśnie po tym gościńcu Heglowskim, co miał ją doprowadzić do Damasku, i niezmiernie wszystkich zajmowała, jako nowy rodzaj osobistości łączącej męskie rozumowanie z łagodnym wdziękiem kobiecym.

W tymże roku zjeżdża też i filozof innego rozmiaru, powinowaty nasz, August Cieszkowski, jeden z wielkich myślicieli tego wieku, potężny pisarz, gość miły w obcowaniu, z twarzy i z mądrości podobny do Sokratesa. Z profesorów przybywa Dominik Szulc, człowiek ogromnej wiedzy, a przy tym wymowy grającej tak cudownymi kolorami, jakby jakaś zorza północna. Wymową tą czarował wszystkich; szkoda tylko, że przy bliższym poznaniu odpychał swoją krwawą ironią i zakamieniałym ateizmem. Z uczonych odznacza się jeszcze: zacny historyk, Feliks Bentkowski, oraz archeolog, Stronczyński. Pokazuje się już czasem w salonie i baron Edward Rastawiecki, chętnie lgnący do Aleksandra Przezdzieckiego, z którym łączy go

wspólność literackich i artystycznych dążeń. Obaj wyglądają schludnie, spokojnie, zacnie, a wobec potomności zasłużenie.

Z Poznańskiego zawitał generał Morawski (niegdyś adiutant mego dziadka Żółtowskiego), wojak składający wdzięczne rytmy, piękny zawsze, choć już podżyły, przyjemny, choć nieco sztywny i łatwo urażliwy. Bywał też i syn innego poety, sam także piszący dobrze wiersze, ognisty Andrzej Koźmian.

Z odmiennych zupełnie stron Parnasu przyleciał raz i odleciał ptak wędrowny — Kornel Ujejski. Aż w połowie roku zjawił się pieśniarz, który miał wiele życia wnieść na poniedziałkowe zebrania. Matka moja znalazła w „Bibliotece Warszawskiej” wiersz *Do poezji*, i podpisany nieznanym nikomu nazwiskiem: Teofil Lenartowicz. Wiersz był porywający i tak ją zachwycił, że zaczęła się dopytywać o autora. Przeprowadzono chłopca nieśmiałego, niepozornej postaci. Ale ta nieśmiałość prędko przysła; młody poeta okazał się w rozmowie istnym kameleonem; na przemian to poważny, to rzewny, to znowuż wesół aż do pustoty, nasz sielankowy pan Teofil umiał nawet i klucz żądełkiem, a biada jego ofiarom! Komu raz łatkę przypiął, ten już musiał chodzić z nią na wieki.

Bywali goście z rozmaitych stron kraju: z Krakowa okazały ksiądz-pijar Jakubowski; z Litwy słynny ornitolog Konstanty Tyzenhauz, pan mądry, trochę niedźwiedziowaty, ale w salonie na pozór ugłaskany, bywał i najśliczniejszy nadniemeńczyk, pełen talentu rysownik-amator, Antoni Zaleski, twórca „Scen Paska” i wielu innych obrazków, bardzo ładnych, acz trochę wymuskanych. Z innej młodzieży odznaczają się w tym czasie dwaj starsi Kurcowie, wymowni i rozumni, lecz strasznie poważni; odznacza się czupurny Kajetan Suffczyński, krewny nasz, przyszedł autor wielu dzieł równie cennych, jak nadobnych, pisanych pod pseudonimem Bodzantowicza.

Pojawia się po raz pierwszy wielki czarodziej salonów, tylko co wracający z zagranicy, Włodzimierz Kretkowski, błądy, przepyszny młodzian, o czarnej ogromnej brodzie i wykwinnym, nawet nieco wyszukany obójściu, co wszystko czyni go podobnym do bohatera z romancerów hiszpańskich. Na koniec, ku zimie, zjeżdża na stały pobyt do Warszawy i zaczyna stale bywać na poniedziałkach Józef Korzeniowski, mężczyzna przystojny, przyjemnie rozmawiający, ale górnie chłodny dla wszystkich, wyjąwszy — dla pięknych kobiet. Bo też on, prawdę mówiąc, nic nie cenił w kobiecie, tylko piękność, i choć w książkach swoich inaczej się przedstawia, w stosunkach towarzyskich był pod tym względem czystym poganinem.

Wszyscy ci literaci, uczeni i artyści tworzyli jakby śmietankę poniedziałków, pod którą przyływały różne inne warstwy. I tak: ludzie różnych rodów: Potoccy, Radziwiłłowie, Zamoyscy, Lubomirscy, Giedrojcie, Małachowscy, Tarnowscy, Sapiehowie, Sanguszkowie, Tyzenhauzy, Tyszkiewiczze, Branicy; dalej przejezdni obywatele ziemscy, z którymi mój ojciec, jako radca Towarzystwa Kredytowego i Ogniewego, zostawał ciągle w zażyłych stosunkach — słowem, wszystkie niemal żywioły społeczne, które nigdzie indziej nie mogły, a może i nie chciały się do siebie zbliżyć, tu spotykały się rozbrojone urokiem gościnności, przyglądały się sobie wzajem, naprzód nieufnie, potem ciekawie, a w końcu często po bratersku. Takie dzieło „bratania” było zaprawdę piękne i temu tylko domowi właściwe. Wprawdzie przez ubiegłe lata Warszawa była już odzyskała dużo ruchu i ożywienia. Stało na roście wiele domów otwartych, nierównie bogatszych od naszego; błyszczą tam złoczone liberie, rześiste oświetlenia i praojcowskie srebra. Ale w tych domach nikt nie myślał o popieraniu nauk ani sztuk ojczystych, ani nawet języka ojczystego. Rozmawiano tam po francusku, a gdy się bawiono, to w sposób najpospalitszy, bez żadnej wyższej myśli: jedni tańczyli, drudzy grali w wista i preferans, najważniejszą zaś chwilą i główną przynętą była nieodzowna kolacja.

„U nas inaczej...”

Poniedziałki nigdy się nie zniżyły do tuzinkowości tańców. Stolik wybity zielonym sukmem

był sprzętem nieznanym w naszym domu. Kolacji też w nim nie wyprawiano; nie było potrzeby uciekania się do takiej grubej wędki, skoro i bez niej nigdy nie brakło gości, którzy — jak mawiała moja matka — do nas „przychodzili jedynie po „duchowy obrok”. Jednak, oprócz owego „obroku” podawana była i herbata, i koszyk z ciastem wykwintnym, bo branym zwykle od Lessla. Przed północą zaś roznoszono „wystałe” wina węgierskie i limonadę domowej roboty, a do niej również domowe tartynki, czyli, jak wówczas nazywano, „kanapki”. Skromne te przysmaczki utkwily mi w pamięci, bo rano przyglądałam się często ich robieniu, a koło dziesiątej z wieczora i my, dzieci, dostawałyśmy w naszym pokoju po szklaneczce limonady oraz po dwie tartynki, przed czym dużo było między nami wróżb i odgadywań, jakie też to kanapki nam przypadną w udziale, z sardynkami czy z siekanym jajkiem?

Były wprawdzie wtedy w Warszawie niektóre domy pseudoautorek i niższorzędnych literatów, gdzie usiłowano zgromadzać się dla samej przeważnie rozmowy. Po trzydziestu latach czytałam nawet w jakiejś broszurze twierdzenie, że to były *salony literackie*. Łatwo tak twierdzić po kilku lat dziesiątkach, gdy większa część współczesnych wymarła i słowom tym już nie zaprzeczy. Ale ja, posiadając dobrą pamięć i dobrą tradycję, zaprzeczam im bez wahania; żaden z owych domów nie mógł być mianowany „salonem”, a tym też mniej „literackim”. Były to przygodne herbatki, z różnaitą przyprawą; przy jednych bawiono się w pensjonarskiego „sekretarza”, przy drugich w jadowitą obmowę, przy innych jeszcze w krzykliwe politykę.

I u nas, co prawda, kwitł czasem „sekretarz”, ale był uprawiany tylko w dzieciennym pokoju. Co się zaś tyczy obmowy i polityki, te były stanowczo raz na zawsze wykluczone z poniedziałkowych przyjęć, pierwsza, jako grzeszna i szpetna, druga, jako przedmiot rozjątrający umysły i zmieniający rozprawy na kłótnie. Zresztą, jeśli salon ma być literackim, to nie może być politycznym.

Istniało jednak w Warszawie jedno miejsce zborne, które mogło być postawione obok poniedziałków, to niedziele Leona Łubieńskiego. Wprawdzie miały one zakres ciaśniejszy, bo pozbawiony żywiołu kobiecego i artystycznego, ale też i przedstawiały się w ramach nierównie skromniejszych. Jeszcze przed rokiem kto wszedł na dziedziniec pałacu Łubieńskich (dzisiaj zburzonego) i spojrział ponad parter lewej oficyny, ten mógł widzieć tam trzy okna, wychodzące z niewielkiej facjatki. Do niej to niegdyś, co niedziela, pomiędzy pierwszą a czwartą po południu, zdążyły szeregi mężczyzn. Po ciasnych schodkach wchodzili do dwóch niskich, niedużych pokojów, gdzie witał ich człowiek wysoki, o krzaczastych jasnych faworytach, o dużej wyblakłej twarzy, o wargach wzgardliwie wywiniętych; nie piękny, a jednak, rzecz osobliwsza! gaśli przy nim choćby najpiękniejsi. Witał wszystkich i częstował dobrymi cygarami. Na stole stały serdelki, chleb i wódka. Było ciasno, tłoczno i dymno, ale bawiono się cudownie; rozprawiano, jak w parlamencie, a śmiano się, jak na komedii. Najcichszym rozwiązywał się język, najtępszym rozwidniała się głowa, bo wszystkich elektryzował ten dziwny gospodarz; sam on odzywał się rzadko, zwykle ucinkowo, często i docinkowo, przecież na wszelaki przedmiot umiał sypnąć tyle soli attyckiej, że każde jego słówko w mgnieniu oka obiegało Warszawę.

Z początku hrabia Leon chciał współzawodniczyć z poniedziałkami po nieprzyjacielsku, chciał stawiać — jak mówią Francuzi — *autel contre autel*. Ale, jako mądry ćwik, prędko zmiarkował, że to zła strategia. Więc zbliżył się do moich rodziców, został ich wiernym sojusznikiem i oba domy dobrze na tym sojuszu wyszły. Pan Leon pilnie odwiedzał poniedziałki, zawiązywał na nich nowe stosunki, werbował sobie cennych gości, a mój ojciec nawzajem uczęszczał na niedziele, gdzie czynił mnóstwo znajomości, którymi wzbogacał swoje poniedziałki.

Tak oba ogniska użyczały sobie wzajem płomienia i były sobie poniekąd pokrewne, choć z wielu względów i odmienne; u pana Leona, jako na zebraniach czysto męskich, rozmowa szła



swobodniej; na poniedziałkach szła podniosłej, tym bardziej, że była często podsycana muzyką, a zwłaszcza deklamacją.

Młody Grzymała, uprawiający fortepian po amatorsku, grywał sztuczki krótkie i nietrudne, ale oddane z wielkim wdziękiem. Dobrze pamiętam jedną z nich, zwaną *La femme du marin*, która sama niejako w duszy się śpiewała, naśladując tęskne rozkołysanie morza. Potężniej grzmiał tenże fortepian opanowany przez przedziwnego wirtuoza, jakim był Wodnicki, chudy młodzieniec o czarnych włosach i nazbyt długich rękach. Sąsiadował on z nami poniekąd, bo mieszkał na ulicy Świętokrzyskiej, a gdy grał u siebie, to dźwięki przepływały nad murem i rozlegały się po całym naszym ogrodzie; nieraz szliśmy umyślnie do przymurkowej alei, aby się przysłuchiwać z rozkoszą. Grał też kilkakrotnie i na poniedziałkach, i wrócono mu piękną przyszłość. Niestety, nie zdołał jej doczekać. Pewnego dnia nasz ogród ucichł — młodzieniec zgasł na suchoty, a my długo, długo jeszcze, chodząc pod kasztanami, nie mogliśmy odżałować, że już nad nimi nie przepływa czarowna harmonia.

Częstymi bywały deklamacje. Niektóre z nich zostawiły pamiętne wrażenie. I tak, w 1843 r. pewnego poniedziałku Henryk Lewestam przeczytał nieznaną jeszcze w *Warszawie Pieśń o ziemi naszej* Wincentego Pola. Tom poezji był zupełnie nowy; rzecz była czytana prześlicznie, zdumiała też i porwała wszystkich. Mniej porywu sprawiało czytanie Minasowicza jego przekłady z Schillera brzmiały twardo, jego deklamacja, nie mniej twarda, grzeszyła pompatycznością. Słuchano go jednak z poważaniem, należnym szczerzej pracy i szczeremu zapałowi. Już co w zapale, to nie ustępował mu i Andrzej Koźmian, który nieraz wygłaszał wiersze swego ojca, lub jakie inne utwory. Czytał niby „à la Osiński”, ale ze zbytnim patosem. Chryplł, stawał cały w płomieniach, a że był tłustawy i krwisty, słuchaczy brała obawa, aby przed końcem poematu nie został porażony apopleksją.

W r. 1844 dała się słyszeć kilka razy i proza. Książdz Mętlewicz odczytał swoją niezwykłą rozprawę „O świętym Wicie i Światowicie”. Antoni Waga czytywał rozprawy naukowe, które były uczone, a jednak nie nudne, bo między dzieje owadów i robaków umiał zawsze zaplątać przygody jakiegoś robaczka, co miał amorkowe skrzydła i śliczną damską buzię. Niemniej szczęśliwie wypadły występy Aleksandra Przeddzieckiego, który w tym roku czytał dwie swoje obszerne prace: dramat *Jadwigę* oraz komedię *Złoto i sumienie*. Pomimo najlepszej chęci gospodarstwa słuchacze nie dali się do nich przekonać. Niebawem też młody autor zaniechał dramaturgii, a przerzucił się całkiem na pole badań historycznych, gdzie zdobył sobie z czasem wysokie uznanie.

Chojecki częstokroć stawał do deklamacji, srebrzystymi tonami wydzwaniał to modnego wówczas *Kirgiza*, to wyborną baśń Czajkowskiego *O żelaznym wilku*, to znów *Laokoona* Lenartowicza. Największy poklask zdobył sam Lenartowicz, gdy na jesień tegoż roku czytał swój wiersz, napisany do albumu mojej matki, a zatytułowany *Wspomnienia drzew*. Nie spotkałam go dotąd nigdy w zbiorze jego poezji, a jednak jest to jedna z najcudniejszych, zwłaszcza niedomówione zakończenie zachwyciło wszystkich, i długo jeszcze wspomniano łzawy głos autora i owo cwałujące „dalej... dalej...”, które leci w przyszłość, jakby dobra wróżba...

Takim było mniej więcej pierwsze dziesięciolecie poniedziałków. Zarys ich niezupełny i pobieżny; nie mógł wypaść inaczej, kiedy nie byłam ich naocznym świadkiem i kiedy do pierwotnej epoki nie posiadam dostatecznych materiałów. Może nawet ktoś czytający te kartki, zapyta z podziwieniem, jakim sposobem zdołałam i tyle odtworzyć?

Sposobów na to znalazło się kilka. A naprzód, spomiędzy osób tu naszkicowanych wiele jeszcze bywało na poniedziałkach wtedy, gdy i ja już weszłam do ich grona. Niektóre spotkałam później za granicą i obraz ich odżył mi w pamięci. Nie mało też zdarzeń zapamiętałam z rozmów, jakie po każdym wieczorze toczyły się u nas, o jego przebiegu, jego mniejszej lub większej świetności oraz różnych jego uczestnikach. Czasem trafiało się i bliższe z nimi zetknięcie. Jak już wspominałam, z okoliczności *Wundermanna* bywały

wyjątkowe zebrania, na które i nam, dzieciom, pozwalano się stawić. W lecie zaś, gdy czas ciepły wywabiał wszystkich do ogrodu, my z okien panienkowego pokoju mogłyśmy widzieć doskonale i ową błękitną lampę, i gości zgromadzonych wkoło chińskiego stołu. Mogłyśmy nawet dosłyszeć część rozmów i deklamacji. A istniał jeszcze jeden misterniejszy sposób. W jadalnym pokoju znajdowały się małe drzwiczki szklane, zasunięte zieloną firaneczką, które prowadziły do gabinetu mojej matki. Otóż czasem, jako wielką łaskę, pozwalano nam nieco uchylić tego rąbka i zajrzeć tam jednym okiem, ażebyśmy zapamiętały, jak to wyglądają ludzie „uczeni” i „poeci”. Dużo ja spoza tej firaneczki nazbierałam wtedy sylwetek i oto dzisiaj z owych ułamków układam sobie tę mozaikę, która w rysach, wprawdzie grubych, ale podobnych, odtwarza mi dość wiernie podpatrzoną przeszłość.

3. Pięć lat następnych, począwszy od 1845 do końca 1849 r., nadało nieco inny koloryt poniedziałkom. Widownia ich także już była inną. Zmieniliśmy znów mieszkanie, tym razem nie z dobrej woli, ale pod wynukanym przymusem. Już na parę lat pierwej księżna Sapieżyna wydała była córkę za hr. Andrzeja Zamoyskiego, który, wzięwszy w posagu pałac, postanowił razem z żoną zająć jego dolne apartamenta. Zostaliśmy zawiadomieni, że mamy ustąpić, jednakże jeszcze nie zaraz, bo przed wprowadzeniem się młodej pary miano cały pałac odnowić, a co więcej, wybudować od przodu wielką kamienicę. Zrzucano tedy ową śliczną kratę i zaczęto roboty. Dziedziniec nagle zmniejszył się o połowę, trawnik zginął pod stosami materiałów i dołami na wapno; pamiętam, że oparta na oknie jadalnego pokoju, przyglądałam się po całych godzinach tej pracy mularskiej, zupełnie dla mnie nowej; nade wszystko rzucanie cegieł z rąk do rąk przez powietrze zdumiewało mnie, jakby akrobatyczna sztuka. Nikt wówczas nie przewidywał, jakie tragedie będą się działy w tych murach, na których powstawanie patrzyłam, a z których we dwadzieścia lat później miały paść owe pamiętne bomby!

Już pierwsza ta „fabryka” była wielką dla nas niewygodą; zasłonięto nam widok Nowego Światu; czy goście chcieli wejść do nas, czy myśmy chcieli wyjść z domu, każdy musiał brnąć przez góry cegieł i przepastne rowy. Wszakże to jeszcze było pół biedy. Gdy kamienica została pod dach wyprowadzona, wzięto się do pałacu; wprawdzie pan Andrzej Zamoyski, widząc moją matkę niepokieszoną, chciał nam ułatwić dłuższy pobyt i kazał najpierw odnawiać piętro, a dołu jeszcze nie tykać, ale jak się pokazało, był to właśnie najlepszy sposób obrzydzenia nam tego siedliska; wszystkie okna od ogrodu zastawiono rusztowaniami; gdyśmy chcieli siedzieć przed domem, gruzy leciały nam na głowę; huki, gwizdanie, kłęby kurzu dokuczały od świtu do nocy; nie trzeba nas już było wypraszać, z wiosną 1845 roku uciekliśmy sami.

Po długich poszukiwaniach rodzice moi osiedli w pałacu Saskim, który nęcił swoją świeżością, bo właśnie wtedy Skwarców był go z gruntu odnowił. Wprawdzie wszystkie mieszkania od Ogrodu Saskiego, o których moja matka marzyła, były już wynajęte, obiecywano wszakże, iż po niedługim czasie jedno z nich się opróżni; w tej nadziei, n a t y m - c z a s e m, wzięliśmy mieszkanie dolne od strony Saskiego Placu. Pokoje były śliczne i bardzo wesołe. W urzędzeniu zaszły niektóre zmiany; i tak w salonie z owych szafek lustrzanych wyrzucone zostały wszystkie brązy, filiżanki i tym podobne „galanterie”; wszystkie poszły do wielkiej skrzyni, zwanej s k a r b c e m, gdzie gromadziły się zasoby przyszłych prezentów i „siurpryz”. Na miejsce tych fraszek stanęły tam dwoma rzędami książki, których tyle już w domu przybywało, że nie wiedzieliśmy, gdzie je podziwiać. Tym sposobem salon pozyskał wygląd nierównie poważniejszy i bardziej l i t e r a c k i. Ale zwykłą przekorą losów, jego rozwój towarzyski właśnie w owym czasie stracił cokolwiek na powadze, a za to stał się nierównie ruchliwszym i gorętszym.

Od Europy szły wtedy powiewy harde, ogniste i rewolucyjne, i Warszawa mocno je odczuwała, i w naszym domu brzmiały echa to Mickiewiczowskich prelekcji, to republikańskich teorii, a młodzież garnęła się coraz gęściej do salonu, gdzie mogła znaleźć pastwę dla umysłu. Była to wszystko młodzież wyborowa pod względem wykształcenia i talentu; na czele stała urocza para dwóch młodzianków, dopełniających się wzajem: Lenartowicz i przyjaciel jego, Ignacy Komorawski; obaj ubodzy, obaj natchnieni, mieszkali razem na skromnej facjatce i tworzyli arcydziełka. Tworzyli je co tchu przez tydzień, ażeby w poniedziałek przyjść razem do moich rodziców i tam popisać się świeżym, jeszcze nigdzie nie ogłoszonym utworem. Tym sposobem na poniedziałkach to najpierw dały się słyszeć owe *Maćki*, *Wisły*, *Kaliny* i tyle innych cudnych rzeczy, co potem przeszły w dobytek narodowy. Ileż razy ja budziłam się o drugiej lub i trzeciej w nocy i z dziecinnego pokoju nasłuchiwałam całą duszą, a nasłuchiwałam tak pilnie, że wkrótce umiałam je na pamięć — i muzykę, i słowa.

Obok tej pary idealnej zjawił się istny diabełek, Włodzimierz Wolski, wprowadzie diabełek o złotych włosach, o ślicznej pokusnej postaci, cóż, kiedy zły, złośliwy i złowrogi. Ach, jak ten człowiek zmarnował dary Boże. Dobry ród, wyborne wychowanie, ładny majątek, piękność, talent — wszystko posiadał i wszystko zniweczył. Ale w owych czasach jeszcze nie przewidywano, jak smutnie on skończy. Właśnie wtedy był w całym blasku młodzieńczego pióra, młodzieńczej urody i tej skrzącej rozmowy, którą ciskał wszędzie, jakby złotym piaskiem. Obok niego jawią się inni, mniejsi zdolnościami, ale także świetni młodzieńcy, jak Morzkowski o myślącej postaci, wdzięczny deklamator, jak cięty i błyskotliwy Niewiarowski, posępny Józef Komierowski, chmurny poeta o „Chrystusowej twarzy”, i wielu jeszcze innych pół-lwów, pół-cyganów.

Z nimi razem wtargnął do naszego domu żywioł niezmiernej wesołości, bawiono się nieraz do wschodu słońca i po wschodzie słońca. Nieraz przyszło gościom podać i śniadanie. Ale ta wesołość trzymana była zawsze w karbach „dobrego tonu” o wysokiej poezji. Moi rodzice oboje posiadali dziwny dar takiego panowania nad umysłami, nawet najkrnąbrniejszymi.

Z ciężkich nabytków owej epoki trzeba wymienić Hipolita Skimborowicza, który był w owe czasy posagowym demagogiem, a zawsze twardym weredykiem, oraz Wojciecha Jastrzębowskiego, ten człowiek, zacny z kośćmi, wielką miał sympatię u młodzieży, chociaż dla mnie ta miłość stanowiła zawsze prawdziwą zagadkę, bo, moim zdaniem, był to jeden z największych pod słońcem nudziarzy, tym nudniejszy, że samouk, zatem przekonany, iż on pierwszy odkrył porządek świata i pierwszy zrozumiał przeznaczenie człowieka.

Ale kto był wtedy bardzo świetnym, to Franciszek Salezy Dmochowski, odwieczny przyjaciel moich rodziców; mieszkał w on czas na wsi, zjawiał się jednak często i zasypywał towarzystwo dowcipami, przypominającymi zebrania u generała Krasińskiego.

W owych też latach zjechał z Rzymu klasycznie piękny, klasycznie uprzejmy i ślicznie malujący, Ksawery Kaniewski. Z uczonych pokazuje się młody doktor Chałubiński, a wkrótce po nim i Aleksandrowicz, botanik. Na koniec przybywa nam bardzo cenny sojusznik, Józef Sikorski, szorstki w obejściu, ale z sercem na dłoni, namiętny w sądach, ale namiętny i w miłości do sztuki, kompozytor wyborny, a mało światu znajomy, który dopiero w domu moich rodziców znalazł gorące uznanie, pole do popisu i zasłużony rozgłos.

Z przejeżdżających cudzoziemców uderza mnie w zapisach dwóch Włochów: naprzód *il Signor Gaetano Rosaglio*, który w albumie mojej matki zostawił piękny wiersz po włosku, a później słynny improwizator Giustiniani; ten improwizował w salach koncertowych publicznie, ale u nas rozmawiał tylko prozą, bo nie lubił robić wierszy „darmo”.

W tymże czasie przysłano mojej matce z Rzymu dyplom, który ją mianował członkiem *A k a d e m i i A r k a d ó w*, gdzie wszyscy noszą imiona przybrane ze starożytności; dla niej przypadło imię Safo z Mityleny.

Tymczasem Warszawa wrzała. Więzienia były pełne. Aresztowano coraz gęściej, nawet za

noszenie długiej brody, która wtedy była symbolem liberalizmu. Wielu naszych przyjaciół siedziało w areszcie Pod Orłem na Saskim Placu, naprzeciw naszych okien; moi rodzice posyłali im śniadania i obiady, a ja im nosiłam wiersze i bukiety, chyłkiem podawane poprzez kratę okienną. Można sobie wystawić, jak moja dusza w tych wrażeniach gwałtownie rozgorzała. W zimie 1846 r. nasi goście musieli przychodzić z latarkami, a na placach żołnierstwo koczowało i paliło ogniska.

Koniec 1846 roku i początek 1847 przyniósł kilkomiesięczną przerwę w poniedziałkach, bo moja matka, ciężko zaniemógłszy, musiała wyjechać za granicę dla ratowania zdrowia. I stamtąd wszakże potrafiła przywieźć piękny plon dla swego salonu. W Berlinie, w Akademii Muzycznej, słyszała cudnie wykonaną pierwszą część *Fausta* Goethego z muzyką księcia Radziwiłła. Wykonanie było akademickie; główne osoby deklamujące i śpiewające stały na estradzie; za nimi rysowała się orkiestra i amfiteatralnie ustawione chóry; wszyscy bez kostiumów, panowie we frakach, panie w białych sukniach, z bukietami. Matka moja, widząc zapał Niemców nie tylko do poematu, ale i do muzyki, czuła się, jak mówiła, zawstydzoną i oburzoną, że to jest utwór Polaka, a w Polsce nikt go nie zna, nikt nawet o nim nie wie! Zaraz więc nazajutrz nabyła partycję, przywiozła ją z sobą do Warszawy i wszedłszy w narady z Józefem Sikorskim, postanowiła powtórzyć u nas to wykonanie, ale w nierównie skromniejszych rozmiarach, jak przystało dla prywatnego salonu.

Przygotowania zajęły nieledwie rok cały. Trzeba naprzód było posiadać przekład polski tych scen, które wybrano, i to taki przekład, co by się dał podłożyć pod muzykę robioną do niemieckiego tekstu. Przy rozdawaniu ról i zgromadzeniu chórów (do czego używani byli sami tylko amatorowie, i to dobrzy znajomi), trudności mnożyły się bez miary, co zresztą łatwo jest zrozumieć, pomnąc, że ówczesne towarzystwo warszawskie było jeszcze całkiem niewprawnym do podobnych przedsięwzięć. Wszystko jednak przemogła wytrwałość moich rodziców.

Przedstawienie odbyło się w d. 7 lutego 1848 r. i wypadło cudownie. Rolę Fausta z wielkim przejściem wypowiedział Morzkowski, Mefistofelesem, i to niezrównanym, był znowuż Wolski, Duchem Ziemi — Józef Komierowski, śliczna pani Aniela Kurc śpiewała jako Gretchen, a w głębi brzmiały chóry, do których należał mój ojciec, Edward Leo, Józef Kenig i wielu innych sopranów; pamiętam panią Laurę Suffczyńską i moją siostrę Kazimierę, która wtedy już uczęszczała na poniedziałkowe zebrania. Estrady nie było żadnej, tylko żółta jedwabna wstążka, przeciągnięta przez cały salon, stanowiła idealną granicę między wykonawcami a natłoczoną publicznością. Że była „natłoczana”, to jawnie mówi spis ówczesnych gości, gdzie spotykają się razem wszystkie arystokracje zasługi, rozumu, piękności, talentu i rodu. Wśród tej ostatniej licznie zeszli się Radziwiłłowie, zdumieni chlubą swojego krewniaka, którego utworów nigdy pierwej nie słyszeli.

W dziejach naszych przyjęć przedstawienie *Fausta* świeci pierwszorzędnym blaskiem. Z dotychczasowych poniedziałków nie był jeszcze żaden taki liczny, żaden nie zyskał jeszcze tak wielkiego rozgłosu. A nie była to jedyna świetność owej zimy 1848 r.

Tyloletnie trudy, podjęte w naszym domu dla dobra i rozwoju społeczeństwa, doczekały się w końcu chwili głośnego uznania, a chwila ta właśnie na ów rok przypadła. Przebieg jej opisałam obszernie w innej mojej pracy; do niej odsyłam ciekawego czytelnika, tutaj, n a - t y m c z a s e m, krótką tylko wzmiankę zamieszczę.

Jeszcze na pół roku pierwej, pomiędzy miłośnikami sztuk i nauk w Warszawie, powstała była myśl uczczenia mojej matki przez wyprawienie na jej cześć wielkiej, składkowej uczty, jednego z owych „bankietów”, jakimi wówczas Europa lubiła objawiać swoje dążności lub sympatie. Składka, zebrana w całym kraju, przyniosła piękne plony, i d. 17 lutego (to jest w dziesięć dni po przedstawieniu *Fausta*) deputacja, złożona z uczonych, artystów i literatów, przybyła do moich rodziców, aby ich zaprosić na ucztę. Mówcy, wybrani spośród grona, wygłaszali po kolei przyczyny i cel swego przybycia.

Nie miałym wszakże być ich podziw, kiedy moja matka nie przyjęła zaprosin i odpowiedziała, że chociaż ten dowód życzliwości jest dla niej nad wyraz chlubnym i rozrzewniającym, jednakże byłby jeszcze miłszym jej sercu, gdyby fundusz, przeznaczony obecnie na chwilową uciechę, został użyty na spełnienie jakiegoś dzieła trwalszego, jak na przykład, na przetłumaczenie i wydanie dzieł Mikołaja Kopernika, którego Polacy jeszcze p o p o l s k u nie czytali. Słowa jej zostały przyjęte z wysokim uznaniem, proszono tylko, aby przyjęła „dedykację” przyszłego wydawnictwa. Zaraz też, pod jej kierunkiem, zaczęła się praca nad przekładem dzieła *O obrotach ciał niebieskich* i w sześć lat później ukazała się ta nieśmiertelna księga we wspaniałym pomnikowym wydaniu.

Wracając do dziejów naszego salonu, muszę zaznaczyć, że w owych latach przybierał on koloryt coraz „liberalniejszy”. Wprawdzie arystokracja rodowa bywała zawsze tłumnie, może nawet tłumniej, niżeli kiedykolwiek, ale od spodów społeczeństwa dom nasz zagarniał coraz szersze sfery. Moi rodzice pierwsi zaczęli przyjmować gości, jakich nigdy pierwej nie widywano w salonach, że tylko wymienię księgarzy, a nawet i niektórych drukarzy.

Pierwsze też w Polsce drzwi moich rodziców otworzyły się na rościę dla ludzi pochodzenia semickiego, i to nie dla bogaczy, bo takich przyjmować nie sztuka, lecz dla najbiedniejszych, byle obdarzonych talentem lub nauką. Moja matka niezmiernie ceniła i lubiła ten szczep wypróbowany i zawsze mawiała, że „pochodzenie żydowskie, to patent na rozum”, a ja już w najmłodszych latach przejęłam od niej tę sympatię.

Rok 1848 zabrał nam niektóre cenne osobistości. Znikł na zawsze z Warszawy nieodżałowany Teofil Lenartowicz, inni znikali na długo w głębi kazamat i śniegów. Na ich miejsce przybywały nowe postacie, niektóre bardzo szacowne. Coraz pilniej uczęszczał na poniedziałki hr. Andrzej Zamoyski, jeden z najprawdziwszych mężów, jakich kraj nasz wydał. Zawsze zdrowo sądzący rzeczy, zawsze ważący wszystko na szali sumienia, człowiek ten w towarzystwie zachwycał każdego swoją niezmierną prostotą. Ojciec nie tylko cenił go niesłychanie, ale i kochał serdecznie, co jest dla mnie najwymowniejszym probierzem, bo mój ojciec zazwyczaj nie szafował sercem. W tychże czasach zjechali do Warszawy i zaczęli u nas bywać państwo Augustostwo Potoccy, oboje sprawiający niezwykle wrażenie, on swoją wysoką pańskością, ona swoją wysoką cnotą. Bywała też panna Paulina Zbyszewska, mądra jak Minerwa, a groźnie piękna jak Junona. Bywała panna Trębicka (późniejsza pani Faleńska), słynąca wtedy z przyjemnej rozmowy. Zjawiała się też czasem z matką, zawsze pełna życia panna Waleria Maletska, która wkrótce po naszym przedstawieniu *Fausta* poszła za owego Fausta-Morzkowskiego i po kilku latach wystąpiła jako powieściopisarka.

Nieopłaconym nabytkiem tamtych czasów jest August Wilkoński, który, prawdę mówiąc, chybił swoje powołanie, bo się urodził na genialnego aktora; ci, którzy tylko c z y t a l i jego *Ramotki*, nie mogą mieć pojęcia, jak on je g r a ł w opowiadaniu. Każdy poniedziałek, ozdobiony jego obecnością, stawał się Molierowską ucztą. Bardzo moich rodziców zajął młody Aleksander Lesser, którego pędzel i zacną miłość do dziejów umieli słusznie ocenić. Nie mniej zajął ich i Oskar Kolberg, brzydki chłopaczek, z piękną duszą i żelazną wolą.

Z dalszych stron kraju zjeżdżali różni uczeni, Estreicher z Krakowa, Bielowski ze Lwowa, słodki Kazimierz Jarochoński z Poznania. Zjeżdżał też kilkakrotnie Kraszewski, zawsze bardzo życzliwie w naszym domu podejmowany. Później ze stron jeszcze dalszych, bo aż z Afryki, spadł jak meteor dr Teodor Tripplin. Miał on w Warszawie chwile niezmierniej świetności, bo i pisał ślicznie, i leczył szczęśliwie, i opowiadał rozkosznie; ale słabą miał głowę; upojenia wszelkiego rodzaju zawróciły mu ją zupełnie, i szybko zniknął z widnokregu, na którym też pojawił się kto inny, prawdziwy olbrzym dowcipu, autor *Listopada*. Pod jego skrzydłami wkroczył do naszego salonu i młodziuchny Waław Szymanowski, wówczas jeszcze nie pretensjonalny, miły i nadzwyczaj wesoły. Ale tu już sięgam czasów, na które patrzyłam własnymi oczami, tu więc wypada mi cofnąć się do moich dziecinnych wspomnień i opowiedzieć, jakie wychowanie przygotowało mnie do życia z ludźmi.

## II

### DZIECIŃSTWO I WYCHOWANIE

Urodziłam się w roku 1834 [1 sierpnia], tym samym, w którym zawiązały się u nas poniedziałkowe zebrania, a choć dopiero po latach kilkunastu miałam na nie uczęszczać, jednak już od najmłodszego wieku owionęły mnie one atmosferą podniosłą.

W domu ciągle toczono rozmowy o wielkich dziełach myśli ludzkiej o rzeczach narodowych, o znakomitych osobistościach, uczęszczających do nas. Rodzice moi oboje ubóstwiali poezję. Toteż jeszcze nie umiałam czytać ani pisać a już lubiłam odzywać się wiązaną mową.

Dzieje polskie bardzo wczesnie zajęły mnie i zapaliły, bo mój ojciec wieczorami śpiewał często z nami *Śpiewy historyczne* Niemcewicza, z których prawie mimowiednie uczyłam się naszej przeszłości. Śpiewał nam i różne inne dawne pieśni, stare mazury i krakowiaki, i owych to już czasów sięga moje rozkochanie się w takich postaciach jak W a n d a, J a d w i - g a i wszyscy nasi bohaterowie.

Rodzice wozili nas po okolicach Warszawy, do miejsc pamiętnych czy to elekcjami, czy bitwami, a zwłaszcza do Wilanowa; tam pokazywali nam królewskie pokoje, i już z dzieciństwa wzięłam się niejako w epokę Sobieskiego, która mnie odtąd nieprzeparcie pociągała.

Nieraz też w godzinach wieczornych szli z nami, dziećmi, do Belwederskich alei, a po drodze wstępowali do Obserwatorium, którego dyrektor, Jan Baranowski, był ich dobrym znajomym. Tam przez teleskop oglądałam dziwy księżyca, mlecznej drogi, białych mgławic, a zwłaszcza gwiazd różnokolorowych, co mnie wszystko niesłychanie zajmowała i naprowadzało na długie rozmyślenia, w których starałam się po dziecinnemu rozwiązywać zagadki światów i ich przeznaczeń.

2. Matka moja, wiedząc, jak wielką jest w kobiecym wychowaniu odpowiedzialność macierzyńska, postawiła sobie za cel życia i najusilniejszych dążeń, ażeby wychowanie swoich córek doprowadzić do wymarzonego ideału. W tej myśli kształciła się sama nieustannie, czytała wszystko, co najlepszego w tym przedmiocie napisano, a z własnych rozmyślań doszła do wielu zasad zupełnie samodzielnych. I tak, nigdy przynigdy nie miałyśmy guwernantki, nie tylko cudzoziemki (o tej bowiem w naszym arcypolskim domu nie mogło być mowy), ale nawet i Polki. Matka nie chciała nas powierzać żadnemu obcemu wpływowi, chciała mieć nas ciągle pod swoim głęboko obmyślanym kierunkiem.

Z planu wychowania wykluczyła wszelkie obce języki, bo, według niej, czcza ta nauka zużywa na próżno siły umysłu i pamięci. Nieraz mawiała: „Zamiast poznawać pięć rozmaitych sposobów, jakimi można jedną myśl wyrazić, lepiej jest użyć tego samego czasu i wysiłku na zdobycie pięciu nowych myśli.”

Musiała wprawdzie uczynić ustępstwo dla języka francuskiego, bez którego w dzisiejszym społeczeństwie nie można się obejść, ale uczyniła je niechętnie i zawsze powtarzała, że ten tylko może doskonale władać swoim rodowitym językiem, kto go sobie żadnym innym nie skrzywił ani zamącił.

Była też przeciwną długim ćwiczeniom pamięciowym; według jej zdania i pamięć ma swoje granice; kto chce ją zachować w zupełnej świeżości, nie powinien jej przedwcześnie nadużywać. W pracach umysłowych rozwijała przede wszystkim t ó r c z o ś ć. Toteż przy odrabianiu zadań i wypracowań nie było nam wolno ani radzić się starszych, ani żądać niczyjej pomocy. Wszystko się musiało robić z własnej głowy, własnym wysileniem. System to, z początku dla dziecka ciężki, ale wyborny, jedyny, który wyrabia samodzielność myśli.

Przy całym idealizmie wychowania, kładła też wielki nacisk na jego stronę praktyczną; żądała od nas p r z e d e w s z y s t k i m znajomości zajęć kobiecych, pilności w gospodarstwie i w robotach tak zwanych c n o t l i w y c h. Brzmiały mi do dziś dnia te jej święte słowa: „Lepiej, abyś nie umiała pisać, niż abyś nie umiała lub nie lubiła cerować”.

Kazała nam też unikać bliskiej znajomości z innymi dziećmi. Bawiliśmy się zwykle we dwie, a najwięcej czasu spędzałyśmy z rodzicami. Była to wielka z ich strony ofiara, bo to rzecz niezabawna mieć wciąż dzieci przy sobie i wciąż zniżać się do ich poziomu, ale dla nas wynikała stąd nieobliczona korzyść; trudno sobie wystawić, jak dziecko szybko się rozwija i jak zdrowo dojrzewa, gdy nieustannie przebywa z osobami starszymi a rozumnymi, do których musi ciągłą pracą ducha podnosić swe uczucia i pojęcia.

3. Mimo tak poważnych warunków utoczenia zachowałam przez całe dzieciństwo przyrodzoną mi wesołość. Lubiłam przepaściście zabawki, nie tyle dla nich samych, ile dla urzeczywistnienia rojeń i wytworów mojej wyobraźni. Lalki były niejako aktorami, a raczej marionetkami, za pomocą których odgrywałam przed samą sobą nieskończone dramata i różne bardzo ciekawe „historie”. Lubiłam też kleić domki, mebelki, szyć jaskrawe stroje, aby sobie wytwarzać tło i przybory do „scen mojego widzenia”.

Ach, jak ja się wtedy cudownie bawiłam! Nigdy już potem, nawet w najpiękniejszych zebraniach i uroczystościach, nie odnalazłam takiego porywu zabawy, jak ten, co mnie ogarniał pośród moich cacek, przy świetle jednej łojówki. Prawda, że wyobraźnią prześcigałam Chińczyków; dla nich wystarcza napis: „To jest mur” albo: „To jest słońce”. Dla mnie nawet i napisu nie było potrzeba; słońce ze złotej folii olśniewało mnie więcej niż prawdziwe; idealna linia, którą w myśli sobie nakreśliłam na podłodze, stanowiła dla mnie mur tak nieprzebyty, że sama nie śmiałam go przekroczyć. Ale bo też wśród owych słońc papierowych i murów powietrznych snuły mi się takie cudne, takie niebywałe przygody! Zajmowały mnie one równie gorąco, jak później plany moich poematów, a bawiły mnie stokroć więcej, bo nie potrzebowałam im nadawać żadnych określonych granic ani skończonych kształtów.

To gwałtowne cieszenie się obecnością pochodziła nie tylko z popędu, ale i z rodzaju wyrozumowania. Ciągłe słyszałam powtarzane wkoło mnie zdanie, że wiek dziecinny jest wiekiem najszczęśliwszym, że późniejsze życie jest pełne zawodów i cierpień, a ponieważ od małości wierzyłam święcie doświadczeniu starszych, więc czułam, że powinnam cenić moje obecne szczęście i dla lepszej zachęty napisałam sobie nawet następujący dwuwiersz:

Ciesz się, ptaszku, pókiś młody!  
I korzystaj ze swobody!

Arkusze, gdzie ostały te wyrazy, wypisane wielkimi literami z trzema wykrzyknikami, postawiłam sobie na moim stolyczku, aby ciągle mieć je przed oczyma.

Wprawdzie ten wysławiony wiek dziecinny ma także swoje niezaprzeczone, niemałe zmartwienia, ja jednak wmawiałam w siebie wtedy, że one są bardzo małe, i monolog mój kończyłam zazwyczaj w te słowa: „Poczekaj, to wszystko nic jeszcze, przy tym, co później cię czeka!” Toteż lękałam się życia, tych jego prób i zgrzytów, o których starsi mówili z takim

głębokim odczuciem. Często sobie myślałam: „Najszcześliwsi są ci, co już to wszystko przebyli i umieli dostać się do nieba”. Ach, niebo! To był najmilszy przedmiot moich marzeń! Jak to tam będzie? Pamiętam, że nieraz, siedząc na moim niskim, czerwonym krzeselku i robiąc na drutach jakąś brzydka, wełnianą manelkę lub wyszywając perełkami beret dla mojej lalki, po całych godzinach pracowałam wyobraźnią, aby sobie wystawić, jak to tam będzie w niebie?

4. Badacze twierdzą, że mózg dziecka dopiero po siedmiu latach dochodzi do zupełnego swego ukształtowania. Trzymając się tej zasady, aż do lat siedmiu nie uczono mnie ani literki. Przyszła jednak chwila, kiedy trzeba się było zabrać do nauki czytania i pisania. Ta nauka, jako *p i e r w s z a*, jest moim zdaniem bardzo ciężka. Nie wiem, czy innym dzieciom przychodzi ona łatwiej, czy tylko zapominają trudów przy niej poniesionych, ale ja do dziś dnia pamiętam, ile mnie kosztowała i nawet nie zaraz mi się wpłaciła; pierwsze książki nie sprawiały mi przyjemności. Ale bo też jakie to książeczki pisują się dla *m a ł y c h d z i e c i*! Treść błaha — opowieść blada — wypadki powszednie. Tym, którzy sporządzają te literackie „kleiki”, wydaje się zawsze, że im bardziej obniżą skalę swoich pojęć i wyrażań, tym lepiej przystosują się do umysłu dziecięcia. Tymczasem bywa przeciwnie; dzieci, owszem, są chciwe podniesienia, chciwe rzeczy pięknych, niezwykłych, zdumiewających i jednomyślnie, choć bezwiednie, dzielą to zdanie Voltaire'a: *que tous les genres sont bons, hormis le genre ennuyeux*.

Ja przynajmniej byłam już wtedy bardzo czuła na miernotę treści, a nawet i na wady stylu; nie umiałam jasno ich sobie określić, ale czułam, „że to wszystko powinno być jakoś inaczej”. Sam nawet *Robinson Krusoe* nie przemówił mi do serca; zajmowały mnie jego przygody, ale bohater powieści nie pociągał mnie wcale. I nie na mnie jednej sprawiał on to wrażenie. Przekonałam się później, że *Robinson* porywa chłopców, a dziewczynkom niezbyt się podobają; przyczyną ich obojętności jest zapewne zupełny brak strony uczuciowej, wiejący z tych kartek jakimś purytańskim chłodem.

Pierwszą książką, która mnie zachwyciła, ale to tak zachwyciła, że do dziś dnia noszę w duszy słodki smak jej wrażeń, była słynna powiastka księdza Schmida: *Róża na Tannenburgu*. Bo też co to za perła. Co za arcydziełko. Malownicze tło średnich wieków, świat rycerski z całą swoją poezją i grozą, ludzie różni, ci zacni, tamci popędliwi, ale wszyscy skłonni do szlachetnych porywów, powikłanie wypadków niezmiernie zajmujące, wszystko to roztworzyło mi nowe widnokreśli, a co więcej, wstrząsnęło mnie do głębi serca. Może też największym powabem owej książki była dla mnie jej myśl zasadnicza; główną jej osią jest przywiązanie córki do ubóstwianego ojca, a w moim życiu właśnie to samo uczucie stanowiło także oś główną, słoneczną. Uczucie to sięga tak daleko, jak sięga moja pamięć.

Już od kolebki przyglądałam się memu ojcu ze czcią i ze zdziwieniem; wydawał mi się odmienny od wszystkich innych ludzi, jak gdyby obleczony światłem. I nie myliłam się w sądzie. Sądy małych dzieci są zazwyczaj niemyślne. Później, przez całe życie, porównywałam go z innymi ludźmi, chciałam się przekonać, czy znajdę gdzie jemu podobnych, i nigdy już drugiego takiego nie spotkałam.

Ojciec mój był uosobieniem zaparcia się własnej osoby, tak w wielkich, jak w małych rzeczach, a w małych to zaparcie się jest może najtrudniejsze; co dzień, co chwila wszystkim i każdemu coś ustępować ze swoich upodobań, wygod, przyjemności, zaszczytów, to żywot nieustannej ofiary, której nawet świat nie ocenia. Światu się to zdaje rzeczą prostą, aby ten, co jest zawsze poświęcony, bywał także zawsze poświęcanym.

Ojciec mój nigdy nie przypominał swoich zasług, nigdy nie wymawiał swoich dobrodziejstw i, co najgodniejsze podziwu, nigdy się nie skarżył, chociaż Niebo, jako wybrańcowi, nie żałowało mu krzyżów. Zawsze pogodny, zawsze sprawiedliwy, zawsze nie-



zachwiany w zasadach religii, obowiązku i patriotyzmu, przedstawiał on dla mnie coś boskiego. Przez długie nawet lata nie mogłam sobie Bóstwa wyobrazić inaczej, tylko w postaci Boga-Ojca. Pojęcie o j c o s t w a było dla mnie zawsze równoznacznikiem najwyższej doskonałości, niewyczerpanego przebaczenia i opatrnościowej opieki.

Toteż pierwsza książka, w której napotkałam, słaby wprawdzie, ale dość wierny, obraz tego miłowania i tej części, jakie już wówczas przepełniały mi duszę, wprowadziła mnie w prawdziwe uniesienie. Odtąd, przez ciąg życia, niejednokrotnie *odczytywałam Różę na Tannenburgu*, jeszcze przed trzema laty wróciłam się do niej, a ile razy ją czytałam, to zawsze po dawnemu — ze łzami.

5. Oprócz tych czytań rozrywkowych, szły porządne i stałe lekcje, nigdy jednak nie mogłam się uskarżać na przeciążenie pracą. W porównaniu do potwornej ilości nauk, jakimi dzisiaj głowy pańienek bywają napychane, myśmy się uczyły niewiele, ale za to samych rzeczy prawdziwie potrzebnych i podanych nam w taki sposób, abyśmy potem przez resztę życia mogły już same się douczać. Niechże dzięki będą rodzicom za ten ich wstrzemięźliwy system, który sprawił, że nauka mi nie zbrzydła; przeciwnie, zachowała dla mnie na całą przyszłość powab rzeczy nigdy nie nadużytej.

Rodzice nasi, urządzając rozkład lekcji, lwią ich część wzięli na własne barki. Ojciec uczył nas historii powszechnej, geografii, arytmetyki, a najobszerniej dziejów ojczystych, które pod promieniami jego serca i myśli rozplaniały się jakimś kościuszkowskim ciepłem. Matka przechodziła z nami cały kurs religii, a potem czytywała nam dzieła różnych myślicieli i poetów, to do nich dodając własne, precudne komentarze, to nas wyciągając na samodzielne spostrzeżenia.

Gdy się wspomni, że mój ojciec miał większą część dnia zajętą biurowymi obowiązkami, że moja matka ciągle jeszcze nad własnym umysłem pracowała, że oboje, dla podtrzymania swoich szacownych poniedziałków musieli dużo bywać w świecie, trzeba zaprawdę podziwiać wytrwałość, z jaką przez lat kilkanaście co dzień znajdowali dla nas wolne godziny i nieznużony umysł, choć nieraz widziałam, ach mój Boże, jak to ciężko im przychodziło. Na domiar trudności, musieli dwukrotnie tę pracę podejmować, bo moja siostra była o pięć lat ode mnie starsza; przy tak wielkiej różnicy wieku, nigdy stopnie naszego rozwoju nie przypadały jednocześnie. Co pięć lat po kolei musiano z każdą z nas powtarzać tę samą robotę.

Z obcych nauczycieli niewielu bywało. Siostra moja miała ich jeszcze kilku, ale matka spostrzegła, że tego za wiele, i ja już tylko dwóch dostałam. Józef Sikorski uczył mnie muzyki, a profesor Antoni Waga wykładał nam nauki przyrodzone i rzeczy dotyczące się języka polskiego, którego był dobrym znawcą.

Ale te obce glosy mało wnikały w moją duszę. Tylko ręka ojca i matki zostawiła w niej taki posiew, który mógł kiedyś wydać plony. Wszystko, co wiem, co umiem i czym jestem, zawdzięczam jedynie i wyłącznie rodzicom. Umysły ich, wielce od siebie różne, dopełniały się wzajem, jakby dwa bieguny. Pojęcia mojej matki były przeważnie filozoficzno-humanitarne. Pojęcia mego ojca były przeważnie religijno-narodowe. W moim umyśle oba te kierunki złączyły się i niejako stopiły. Z latami jednak drugi wziął przewagę nad pierwszym, gdyż był mi więcej przyrodzony.

6. Spomiędzy lekcji nie wszystkie miały dla mnie powab. Nie lubiłam geografii, nie cierpiałam chemii, nie mogłam znosić gramatyki, która w stosunku do mego rodowitego języka, wydawała mi się rzeczą całkiem niepotrzebną. „Jak to? - myślałam sobie ze zgrozą - Polka ma się uczyć, jak to się mówi po polsku? A to jak by kto się uczył jedzenia, picia, oddychania”.

Były znów inne nauki, za którymi dosłownie przepadałam. Dziwna rzecz! Były to te właśnie, które z matematyką mają najbliższą styczność. Arytmetyka mnie zachwycała; każde rozwiązanie trudniejszego zadania wydawało mi się podpatrzeniem tajemnic Boskich. Astronomia pociągała mnie zawrotnie. Za muzyką szalałam bez pamięci.

Może też wybór tych nauk nie był tak dziwnym, jak się z początku wydaje? Może mnie do nich zaciekawiło szukanie różnych kształtów i objawów r y t m u, którego poczucie było mi wrodzone?

Wszystkiego innego w świecie musiałam się uczyć, ale co do rytmu i rymu, tych nikt mnie nigdy nie uczył, a odkąd samą siebie zapamiętałam, zawsze już rozeznawałam, które z nich są złe, które dobre, a nawet które najlepsze. Znamstwo to stosowało się głównie do utworów cudzych, zwłaszcza do bajeczek, w których częstochowskie rymy i wadliwa rytmiczność raziły mnie boleśnie. Wprawdzie w moich własnych dziecinnych wierszykach popełniałam nieraz te same błędy i nie mogłam z nich jakoś wybrnąć, ale dobrze wiedziałam, że te wiersze są źle zrobione, a choć nawet starsi przez wyrozumiałość je chwalili, nie byłam z nich rada i głowę sobie łamałam nad ich przerobieniem. Toteż wierszyki coraz kształtniej mi wychodziły.

Rodzice moi cieszyli się nimi, ale tylko w cichości serca. Jak mi później opowiadano, mawiali nieraz między sobą: „Jeżeli talent jest prawdziwy, to sam się z czasem rozwinie. Dziś jednak nie trzeba przedwcześnie podniecać uczuciowości ani wyobraźni dziecka, bo to rzecz niebezpieczna i dla umysłu, i dla zdrowia”. Podobno nawet lękali się niezmiernie o to zdrowie, które też kilka razy bywało mocno zagrożone. Zatem na „wierszyki” zwracano niby niewiele uwagi, a zachęcano mnie głównie do nauk poważnych i do zajęć „praktycznych”. Ale „natura ciągnie wilka do lasu”, mnie zaś ciągnęła do moich piosenek, a czasem, jakby na dobitkę, trafiały się jeszcze i niezwykle wypadki, pod których potrajeniem źródł wierszykowy tym silniej wytryskał.

Takim wypadkiem była piękna podróż, którą moi rodzice odbyli w r. 1843 i w którą wzięli nas obie. Zwiedziliśmy Kraków, naówczas jeszcze wolne miasto, widziałam Polaków niepodległych, widziałam Wawel, i te kościoły, i te groby, i tę całą rozrzewniającą „ruinę” przeszłości, jaką wówczas owo miasto przedstawiało. Zwiedzaliśmy Wieliczkę; wrażenia jedyne do śmierci niezatarte. Potem pierwszy raz w życiu jechałam koleją żelazną. Byliśmy w Wiedniu, wkoło którego czerwieniły się te same baszty i mury, jakie widziały Sobieskiego, a dziś, po całym półwieczu gdy piszę o nim poemat, niepożyte wspomnienie to służy mi wybornie za tło do wielu obrazów.

Tyle wrażeń musiało i wtedy silnie rozbudzić mój umysł, bo jeszcze w tymże samym roku, mając lat dziewięć, napisałam już pierwszą poezijkę, co posiadała już niejaką wartość. Wiersz ów nosił nazwę: *Niebo w śnie*. Wieczne moje marzenia o niebie ścięły się na koniec w kryształik wiązanej mowy. Była to niby wizja nieba, we śnie oglądanego. Wiersz ten zaginął bezpowrotnie, ale pamiętam żeń kilka ustępów, a zwłaszcza jeden czterowiersz, który bym od. biedy i dziś podpisała:

Tu, owinięty obłokiem,  
Anioł z skrzydłami jasnymi,  
Siedzi nad szczęścia potokiem,  
Który się kończy przy ziemi.

7. Kilka takich pierwotnych próbek przepadło bez śladu. Za to następne wszystkie ocalały, dzięki wspaniałemu pomysłowi, jaki mojej siostrze i mnie przyszedł do głowy. Słyszając ciągle o „Bibliotece Warszawskiej”, postanowiłyśmy także wydawać pismo periodyczne, miesięczne, ale rękopiśmienne. Do roboty redakcyjnej nie brakło nam wzorów; czytywałyśmy wychodzący w owych czasach „Magazyn dla Dzieci”, oraz ową śliczną „Zorzę”, pierwszy

dziennik przeznaczony wyłącznie dla panienek, co zajaśniał w roku 1841 pod redakcją Pauliny Kraków i Walentyny Trojanowskiej.

Dłgie były namysły i narady znad wyszukaniem dobrej nazwy dla naszego przyszłego pisma; na koniec wybrałyśmy taką, co nam się zdawała i skromną, i wymowną: „Pszczółka”.(...)

Przez całe życie, pomimo długiej wprawy, pomimo wielkiego już obycia się z ludźmi, ze światem i z techniką rymotwórczą, ile razy miałam improwizować, zawsze szłam jak na ścięcie, nawet jeszcze przed laty kilkunastu, przy ostatnich improwizacjach, doznawałam tegoż samego przestachu, co przy owej pierwszej.

Prawda, że ów trach trwa tylko póty, dopóki nie zacznę mówić. Gdy już potrafię tyle skupić się w sobie, że mogę przystąpić do przedmiotu, wtedy odosabniam się zupełnie od świata zewnętrznego, tak jak czyni to zresztą każdy twórca, każdy myśliciel, jak to czynił np. Archimedes, który pogrążywszy się w myślach, nie słyszał wtargnięcia nieprzyjacielskich żołnierzy — i dopiero pod śmiertelnym ciosem dowiedział się o ich przybyciu.

Ale jeżeli wówczas dusza zamyka się na wszystkie rygle przed wpływami zewnętrznymi, za to na wewnątrz jest trzeźwiejsza niżeli kiedykolwiek, bo natchnienie wprowadza człowieka w stan r o z b u d z e n i a, nieznanego, jak mi się zdaje, innym ludziom.

Tak. Nie jest to żaden szal, żadne odurzenie, ale owszem, jest to otrząśnięcie się z ociążałej półsenności, w jakiej zwykle pozostajemy, jest to dojście do stanu wyższej jawy, gdzie się jaśniej, widzi, rozumuje i łatwiej przypomina, niż w zwykłych warunkach życia.

Toteż Zygmunt Krasiński mylił się mocno, kiedy pisał:

„To nie dziewczę mówi, ale przez dziewczę mówi...”

Słowa te brzmią ładnie, ale szkoda tylko, że zawierają fałszywe pojęcie.

Osoba improwizująca to nie żadne medium, to nie narzędzie, to władca narzędzia, to istota najzupełniej przytomna, przytomniejsza niż ci, co ją słuchają, bo tak potężna praca wymaga kryształowej przytomności umysłu. Ten umysł tak jest wtedy zajęty robotą, że niczym innym już zająć się nie może, i to właśnie stanowi jego bezpieczeństwo. Czasem wprawdzie „pyta się on duszy: „Po co ty mnie tak pędzisz? Dajże mi odpocząć choć troszkę, bo doprawdy, że już nie mogę”. A dusza odpowiada: „Teraz o nic mnie się nie pytaj, tylko pędź naprzód, ciągle naprzód. Jak dojdiesz do celu, to odpoczniesz. A nie oglądaj się na prawo ni lewo, bo wywrócisz i wóz, i konie...”

Oj, to najważniejsza rada. Jedna chwila roztargnienia, a już po całym czarze. Niech osoba improwizująca spojrzy uważnie na kogo ze słuchaczy lub nawet na jaki obraz albo mebel, już zaczyna sobie przypominać: „Aha — to ja jestem tu a tu..., mówię przed tym i owym, a o czym to ja mówię?...” I przez czas kiedy to myśli, traci wątek improwizacji, nie wie, co już powiedziała; nie wie, na czym stanęła; tymczasem chwile bieżą, milczenie trwa, słuchacze dziwią się i zaczynają chrząkać... i wszystko może się skończyć na haniebnym *fiasco*.

W moim życiu nigdy nie doszło do takiego strasznego końca, chociaż i mnie nachodziły chwile roztargnienia... Przy boskiej pomocy, zawsze się jakoś połapałam, a chociaż moje zamknięcie trwało w takich razach za długo, słuchacze kładli je na karb namysłu i nigdy się nie spostrzegli, że wóz był już nieraz na przewrocie.

Z tego wszystkiego, co powiadam, pokazuje się, że improwizowanie jest właściwie p r z y - s p i e s z o n y m p r o c e s e m t w o r z e n i a. Jest to pociąg „błyskawiczny”, w którym przemawiający przebywa tę sarną drogę, co piszący, tylko przebywa ją z nierównie większą lotnością i... większym bezpieczeństwem.

Nieraz usiłowałam wytłumaczyć to ludziom, ale nie mogli czy też nie chcieli mnie zrozumieć. Nierozumienie pochodziło zapewne (tak jak u Krasińskiego) z pomieszania dwóch starożytnych pojęć, mianowicie Sybilii i Pytii, do których zwykle poetki bywają porównywane.

Pierwsze porównanie jest często zbyt pochlebne, posiada jednak w sobie pewną miarę

prawdy. Sybilla była istotą zdrową, mówiącą wprawdzie pod wpływem natchnienia, ale z jasną samowiedzą i mądrym rozeznanieniem, słowem, tak mówiła, jak śpiewają „wieszczę”.

Pytia zaś była to biedna, niewykształcona kobiecina, którą gwałtem okadzano złymi wyziewami, ażeby ją sztucznie wprowadzić w jakiś stan chorobliwy i doprowadzić do konwulsji, a gdy ją porywały spazmatyczne krzyki, kapłani jej bezładne wyrazy podchwytywali i z nich układali swoje wróżby. Ten sposób wróżenia może nie był gorszym od kurdziobiących ziarna u Augurów lub od wosku, lanego w wigilię św. Andrzeja, ale nic nie miał wspólnego z natchnieniem ani twórczością. Toteż oburzałam się, gdy mi winszowano, że mówię jak z trójnoga. Świat dziwił się temu oburzeniu i w improwizacji chciał koniecznie upatrywać jakiś stan odrębny.

Tymczasem jest to nie odrębny stan; ale odrębny stopień na termometrze natchnienia, jest to ów stopień krańcowy, gdzie władze twórcze dochodzą do najwyższego napięcia. W takim usposobieniu można pisać — i wtedy tworzy się rzeczy wyborowe, można też improwizować, a wtedy tworzy się rzeczy mniej doskonałe, ale które na razie więcej zdumiewają.

Dar improwizacyjny nie odstąpił mnie nigdy. Dziś częściej, niż kiedykolwiek, miewam takie chwile, ale dziś wolę je zużywać na pisanie, i to dzieł obszerniejszych, bo też i wiek mój, i okoliczności stawiają mi już szersze wymagania.

Inaczej było z początku. Wtedy kraj cały chciał się przekonać, co to jest improwizacja, wypadło mi więc przede wszystkim dać mu w tym przedmiocie wyczerpującą odpowiedź.

Wiadomość o improwizacji z dnia 17 maja nie zaraz się rozeszła, gdy nadszedł następny poniedziałek, prawie nikt o niej nie wspominał. Ale za to po dwóch tygodniach już całe nasze towarzystwo było tą wieścią zajęte i tak mocno zaciekawione, że tego wieczora (31 maja) aż dwa razy improwizowałam, raz o *m u z y c e*, drugi raz o *m a l a r s t w i e*. W trzy tygodnie później znów przypadły dwa tematy na jeden wieczór: *Gniewy żywiołów* i *Przyjaźń*.

Wszystkie te improwizacje zginęły bez śladu — stenografii nie znano jeszcze u nas. Dopiero w początku lipca mój ojciec wpadł na pomysł, czyby nie można spisywać wierszy połówkami, bo całym wierszem nie podobna było się dogonić. Sam dał przykład, a dobrawszy sobie chętnych współtowarzyszy, tak rozdzielił pracę, że dwóch spisywało początkową połowę każdego wiersza, dwóch zaś pisało same jego końce. Pierwsza próba odbyła się dn. 5 lipca przy improwizacji, wypowiedzianej na temat zadany przez Korzeniowskiego: *Wiosna*. Gdy po wieczorze zabrałam się do tych czterech wąskich szpaltek, dostrzegłam z podziwieniem, że mogę z nich dość łatwo spleść pierwotną całość. *Wiosna* też była pierwszą improwizacją spisaną i drukowaną, a sposób skazał się tak wyborny, że odtąd zawsze go już używano, chociaż muszę wyznać, że podczas mówienia ta czynność pisarska, odbywana tuż przy mnie, bynajmniej mi nie pomagała. Wdzięczna byłam serdecznie osobom, które się trudziły dla utrwalenia mojej myśli, ale ten widok ich trudu, to podchwytywanie mnie na gorącym uczynku mimowolnie mnie kępowało i jeśli mam prawdę wyznać, to najswobodniej improwizowałam wtedy, gdy nikt nie spisywał.

Teraz jednak bardzo rzadko się to już przytrafiało, musiałam pogodzić się z tą „kontrolą”, równie jak i z drugim, jeszcze uciążliwszym warunkiem improwizacji, z przyjmowaniem tematów. Przyjmowałam je od początku i w spisach gości poniedziałkowych stoi zawsze wzmianka, kiedy i przez kogo jaki temat został mi podany. Jeżeli pomimo tej mojej powolności jeszcze ludzie powątpiewali o prawdzie improwizacji, cóż by dopiero powiedzieli, gdybym sama sobie wybierała tematy? A jednak ileż razy miałam ochotę to uczynić. Ileż razy częstowano mnie przedmiotami, które nie przystawały do mego usposobienia w danej chwili.

Lubiono szczególnie podsuwać mi zadania rzewne, słodkie, czysto liryczne, a nikt nie spostrzegął, że te są nie tylko najuboższe, bo już od wieków i przez wszystkich poetów opiewane, ale dla mnie i najtrudniejsze — dwóch bowiem strun lirycznych nie mogłam dotykać: narodowej i romansowej.

Patriotycznych uniesień musiałam się wystrzegać w improwizacji, nie tylko z powodu cenzury, ale i z powodu wielkiej liczby moich słuchaczy, między którymi mogli być i goście dwulicowi — towarzystwo warszawskie aż roilo się wtedy od podobnych osobistości a żaden salon nie zaciekawiał ich tyle, co nasz...

Byłoby istnym szaleństwem dla kilku brzmiących frazesów narażać dom rodzicielski, tyloletnie istnienie poniedziałków, a na koniec i moją własną literacką przyszłość. Trzymałam się więc, jak mogłam, na wodzy, jednak jeszcze nie dosyć. Było w improwizacjach mnóstwo wyrażeń, obrazów, a nawet i wykrzyków, od których słuchacze aż truchleli, ale czytelnicy wiedzieć o nich nigdy nie mogli, bo nim rzecz ukazała się w druku, cenzor starannie je z niej wypruł. Z tego to powodu improwizacje w druku przedstawiają się inaczej o wiele, niżeli wyszły z duszy.

Struny romansowej nie tylko nie mogłam, ale i nie chciałam wówczas dotykać. Była to rzecz solennie umówiona z rodzicami, że do pewnych lat będę unikała tej dziedziny, niestosownej dla mojego wieku, a nawet i potem, jeśli przyjdzie mi śpiewać miłość, to raczej w książce, niżeli żywym słowem. Są dla wrażliwości niewieściej pewne odcienia tak wiotkie, jak wiotki jest obrąbek, oznaczający wycięcie jej szaty.

Dziwno mi, że ludzie, zamiast ocenić, pochwalić tę młodocianą powściągliwość, obrzucili mnie owym zarzutem chłodu, który ciążył nade mną przez lat tyle, nawet wtedy, kiedy już najpłomienniejsze utwory zadały mu widoczne kłamstwo. Czułam ja zawsze nicość tego zarzutu, wiedziałam, jakie zasoby paliwa noszę w samej sobie, toteż nigdy on mnie nie martwił. Nieraz, czytając lub słysząc podobną naganę, uśmiechałam się w duszy i myślałam sobie: „Poczekajcie no tylko... niech ja się wezmę w poezji do krzesiwa, to zrobię wam taki ogieniek, że niejeden od niego aż odskoczy... ale to nie dziś jeszcze... jest na wszystko pora”.

Trzymając się przeto francuskiego przysłowia: *Tout vient á point á qui sait attendre*, czekałam cierpliwie, a tymczasem ułatwiałam sobie, jak mogłam, improwizacyjne trudności; czasem prosiłam, aby mi dawano przynajmniej kilka tematów do wyboru. Czasem tłumaczyłam gościom, jakie tematy najlepiej przypadają mi do smaku — i tak: lubiłam przedmioty, brane z nauk, ze sztuk pięknych, z dziejów, z historiozofii, bo te są niewinne, bogate, i po większej części jeszcze nie wyzyskane. Z wolna też nauczono się wynajdywać dla mnie zadania prawdziwie piękne. Tak powstały: *Taniec, Rzeźbiarstwo, Noc zimowa, Kamienie, Ptaki, Podróż myśli w świat dziejowy, Święty Augustyn, Astronomia* — wszystko rzeczy szerszych rozmiarów. Było prócz nich i wiele mniejszych, z których mnóstwo nie spisanych — przepadło. Nie lubiłam jednak tworzyć improwizacji krótkich, bo kosztowały mnie tyle strachu co i długie, a nie pozwalały na szeroki rozmach lotu i, co gorzej, zostawiały niezadowolenie w słuchaczach, którzy zawsze wtedy mówili z przekąsem: „O!... jakże dziś krótko... Może byśmy jeszcze co drugiego usłyszeli?”

Te jednak dłuższe improwizacje, które wyżej wymieniłam, wcale nie szybko po osobie następowały; aby je znaleźć w spisach poniedziałkowych, trzeba przebiec z jakie trzy lata. Bo też byliśmy niełatwi do uproszenia.

Wprawdzie poza Warszawą krążyła pogłoska, jakoby z każdym poniedziałkiem powstawała nowa improwizacja, lecz była to czysta bajka. O ile sobie przypominam i widzę ze spisów, nigdy podobno nie improwizowałam przez dwa tygodnie z rzędu. Trafiało się to co drugi, co trzeci poniedziałek, czasem i jeszcze rzadziej. A wielkiej trzeba nam było wytrzymałości, aby się oprzeć tak licznym i gwałtownym żądaniom. Każdy prosił, jedni z miłości do poezji, drudzy z prostej ciekawości, inni jeszcze choćby tylko dla mody — z tej czy owej przyczyny, każdy chciał się pochwalić, że „już słyszał”.

Czasem też trudno było nie ulec przewadze wieku lub jakowejś sławy — przyjeżdżały najszanowniejsze matrony, schodzili się ludzie znakomici, często przybywający z najdalszych stron kraju, zaręczający, że przybyli tylko na dni kilka, i to jedynie w celu słyszenia improwizacji. Tak odzywał się Józef Gołuchowski, margrabia Wielopolski, generał

Morawski, Paweł Popiel i wielu, wielu innych. Jakżeż tu odmówić mężom tej powagi?

Nieraz więc musiałam przystać mimo chęci, a nawet mimo niechęci, z jaką stawałam do improwizacji. Ta niechęć pochodziła nie tylko z lęków, jakie mi zawsze towarzyszyły, ale i z tej prostej przyczyny, że nie przynosiły mi one żadnych natychmiastowych rozkoszy. Bo nie trzeba sobie wyobrażać, aby improwizacje miały wywoływać jakieś okrzyki uniesienia, jakieś porywające brawa — bynajmniej. Owe osławione oklaski, które mi tylekrotnie wymawiano wierszem i prozą, w listach i gazetach, Boże mój, a toż ja ich wtedy prawie wcale nie znałam.

Wrażenie improwizacji objawiało się zupełnie inaczej: bezgłębnym milczeniem, głuchym szmerem i... mamże powiedzieć? rodzajem przerażenia. Częstokroć osoby, o których zdanie dbaliśmy najwięcej, wychodziły natychmiast po improwizacji, nie powiedziawszy ani słowa, co nas niejednokrotnie zabolalo. Później dopiero przekonywaliśmy się z podziwem, że te właśnie osoby wyniosły najgłębsze wrażenie.

Ludzie bardzo nam życzliwi mówili mi nieraz: „Czy wie pani? Słuchać improwizacji to dla mnie jest prawdziwym cierpieniem... Ja tak się ciągle boję, aby pani nie zabrakło myśli, wyrażień, odwagi, że doprawdy ledwie oddycham...”

Jeżeli przyjaciele czuli podobne trwogi, cóż dopiero musieli czuć moi rodzice? Winszowano im córki-improwizatorce, a dalibóg nie było czego! Biedni, najukochańsi moi!... Co oni wtedy przechodzili!

Moja matka, z początku tak odważna, później trwożyła się więcej, niż ja sama. Przed każdą improwizacją uciekała do trzeciego pokoju, gdzie czekała, powstrzymując bijące serce i modląc się za mnie. Ojciec mój nie mógł uciekać; nie wypada przecie, aby oboje gospodarstwo na raz opuszczali zgromadzenie; ale chodził blady i struchlały i tylko czynnością „spisywania” zagłuszał trawiący go niepokój. Słowem wszyscy troje nie byliśmy na różach. Osobiste więc nasze uczucia nie mogły nam dać jasnego pojęcia o wrażeniu, jakie improwizacja sprawia na ogóle.

Dawały nam je tylko świadectwa uboczne, mianowicie: coraz liczniej garnące się tłumy słuchaczy, coraz częstsze i przychylniejsze głosy pism publicznych, a na koniec i coraz większa liczba drogocennych listów, jakimi byliśmy zasypywani.

Prasa warszawska okazała się dla mnie wówczas nadzwyczaj życzliwą i tak w tej życzliwości jednogodną, a w jednogodności wytrwałą, że gdy z ubiegiem trzeciego roku niektóre głosy nieprzyjazne zabrzmiały od wschodnich granic, to żadne z pism warszawskich nie chciało drukować nadsyłanych w tej barwie krytyk; tułały się one bez końca po różnych redakcjach, aż na koniec wszystkie spłynęły do „Czasu” krakowskiego, gdzie kilku przeciwnych mi krakowian umieściło całą ich wiązkę i dodało jeszcze do niej niejeden własny listek. Nie zaraz to jednak się stało. A tymczasem owa jednogłośna dobroć dziwiła mnie — wyznaję — niepomąlu. Nie spodziewałam się jej wcale.

W dniu, w którym wydrukowano moją pierwszą pracę, moi rodzice i ja powiedzieliśmy sobie: „Trzeba się przygotować na wiele przeciwności. Kto wstępuje w szranki, ten bierze się nie do zabawy, lecz do walki”.

Tegoż samego dnia przyobiecałam sobie, że na żadne przygany lub zaczepki nie będę nigdy odpowiadała drukowanym słowem i do dziś dnia dotrzymałam owej obietnicy. Z początku nic jej nie groziło. Zamiast oczekiwanej walki przyszło rwać same tylko kwiaty. Oprócz tysiącznych luźnych artykułów, pojawiły się już i poważne recenzje. Taki Aleksander Tyszyński pisał głęboko i pochlebnie. Taki Henryk Rzewuski, jeden z najbystrzejszych znawców poezji, jakich w życiu spotkałam, odzywał się niezwyczajnie gorąco. Pani Eleonora Ziemięcka od pierwszego mego występu aż do ostatniego swego tchnienia zachęcała mnie słowem pełnym serca, piórem pełnym zapału, przyjaźnią pełną prześlicznych pomysłów. I tak, podczas któregoś z poniedziałkowych wieczorów przysłała tajemniczą skrzynkę z wianeczkiem laurowym, który, jako p i e r w s z y, ucieszył nas i rozrzewnił mocno. Nie-

mniej zaszczytnym było dla mnie dopraszanie się pism warszawskich i innych o jakikolwiek urywek, podpisany świeżym pseudonimem.

Tego pseudonimu *D e o t y m y* nie wybierałam sobie sama. Wybrała go dla mnie moja matka, zachęcona odwieczną legendą, która twierdzi, że ta nazwa ma *p r z y n o s i ć s z c z ę ś c i e*. W razie wolnego wyboru byłabym wolała może imię z jakimś innym znaczeniem, gdyż *b a n i e s i ę B o g a* uważam za najniższą z cnót. Ale wola matki, zawsze dla mnie święta, okazała się i tutaj dobroczynną, bo istotnie przyniosła mi szczęścia wiele, nad zasługę, i raz jeszcze dowiodła, że Niebo zazwyczaj wysłuchuje macierzyńskich życzeń. Jednocześnie z głosami pism publicznych, listownie odzywali się i najstarsi koryfeusze naszego piśmiennictwa. Naprzód klasycy: kasztelan Franciszek Wężyk, kasztelan Kajetan Koźmian, Franciszek Salezy Dmochowski, biskup Łętowski, choć ludzie sędziwi, choć tak dawno milczący, pierwsi raczyli przemówić do młodej panienki w listach pełnych błogosławieństw i w poezjach pełnych zachęty. Dziwiono się powszechnie, czemu ci starcy, którzy większych ode mnie przyjęli tak twardo, tutaj okazali tyle powolności? Ja dobrze rozumiem jej powody. Nie widzieli we mnie ducha buntu i stąd ich pobłażanie. Ja nie chciałam żadnych szkół wywracać, żadnych ołtarzy niszczyć, bo czułam, że co wielkie, to samo się ostoja, a co kruche, to samo upadnie. Ja czcilałam starszych nie tytko za ich zasługi, ale już za to, że są starsi, że więcej zaznali i więcej przecierpieli. Miałam zawsze tak wrodozoną, jak i przez wychowanie wpojoną, cześć dla siwych włosów i dziś, gdy na mnie przyszła kolej wieku, chciałabym nieraz powiedzieć tym, co są młodzi, a już pyszni:

— Ach, żebyście wiedzieli, jak to się opłaca być za młodu pokornym!

Chronologicznym porządkiem po klasykach podnieśli głos romantycy: A naprzód Odyniec, który za czasów pierwszej swojej bytności w Warszawie znał się poufale z moim ojcem, teraz napisał do niego prześliczną odezwę, po czym wszedł ze mną w rozmowę listowną; rozmowa ta przez długie lata, choć „nieznajomych i dalekich”, łączyła nas bardzo ściśle, aż przyszła i osobista znajomość, i owa szczerza przyjaźń, co stała się dla mnie równie miłą; jak chlubną.

Z Zygmuntem Krasieńskim nigdy się, nie spotkałam, bo człowiek ten przy całej swojej wielkości miał tak dzikie usposobienie, że ilekroć zjechał do Warszawy, siedział w swoim pałacu jak zaklęty i nikogo nie widywał, prócz kilku wybranych. Przez nich to jednak doszła nas wiadomość o wielkiej życzliwości, z jaką czytuje on i ocenia moje próbki, a życzliwość takiego mistrza stała się dla mnie wspaniałą podniętą.

Ale czekał mnie jeszcze większy zaszczyt Baron Edward Rastawiecki, wróciwszy w owych czasach z Paryża, opowiadał nam, że gdy odwiedzał Adama Mickiewicza, ten z wysoką łaskawością wyrażał się o improwizacjach i nawet czytał mu wiersz, napisany przez siebie do improwizatorki. Nie mogliśmy darować Rastawieckiemu, że nie przywiózł nam tego wiersza! Trudno mu się jednak było i dziwić; w owych czasach niesłychanych postrachów i nieobliczonych trudności paszportowych, nikt nie miał chęci do przewożenia tajemnych przesyłek. Tymczasem wkrótce po jego powrocie zjawia się w „Tygodniku Petersburskim” wiersz takiejże treści, podpisany literą M. Rastawiecki czyta go i poznaje wiersz Mickiewicza. To już była chluba nieledwie przestraszająca swym ogromem.

Artyści nie okazali się mniej życzliwymi od pracowników pióra: przez długie lata obdarzano nas mnóstwem portretów olejnych, litografii, medalionów, popiersi. Nie wiedziałam już, jak rozdzielać godziny artystycznych posiedzeń, jak dziękować za tyle skarbów.

Mogę jednak z ręką na sercu wyznać, że nigdy, ani na jedną godzinę owe zaszczyty nie zawróciły mi głowy. A rzecz ta łatwo się tłumaczy. Nie mogłam być upojona, gdyż byłam ciągle *z a t r o ż o n a*. Trwożyło mnie poczucie ogromnej odpowiedzialności, jaką na mnie wkładają takie głośne początki, bo jeśli *noblesse oblige*, to i *succés oblige*.

Rozumiałam doskonale, że wszystkie owe zachęty są mi dawane tylko jakby *n a k r e d y t*, w przewidywaniu tych rzeczy, które powinnam kiedyś zrobić. Tak, *p o w i n n a m!* Ale czy zrobić? I jak je zrobić? To była moja troska nieustanna, to był zarazem i bodziec do pracy.

2. Pracowałam od początku szalenie. O ilości tej pracy nikt nie może mieć jasnego pojęcia, bo większa jej połowa nigdy nie widziała światła dziennego i nigdy go nie zobaczy. Większa jej połowa, złożona *ad acta*, pozornie na nic się nie przydała, a jednak jakże była potrzebną w moim pasowaniu się ze sztuką! Służyła mi za szereg twardych *ć w i c z e ń*, za próbną męczarnię krwawych *e t i u d*, na których póty się zaprawiałam i wprawiałam, aż doszłam powoli do niejakiego zapanowania nad moim narzędziem.

Już przez rok 1852 i 1853, w czasie najgęstszych improwizacji przybywało także tyle wierszy *p i s a n y c h*; że z nowym rokiem 1854 ukazał się cały pierwszy tom *Improwizacji i poezji*, których wydanie, mówiąc nawiasem, bardzo nam się nie podobało, jako niezgrabne i pretensjonalne. Ale cóż było poradzić z uporem wydawcy, który sądził, że się popisał, jak nikt jeszcze w Polsce?

Oprócz tych prac ulotnych, pisały się już w owym czasie i duże poemata. Jakie, czyż trzeba pytać? Owe Jadwigi, Wandy, Sobiescy, Tadeusze, których postacie od dzieciństwa moją myśl nawiedzały, o które tak truchlałam w obawie, aby wielcy mi ich nie wydarli, teraz wszystkie stanęły przede mną i ogromnym chórem zaczęły wołać o życie.

Z początku najwięcej mnie nęciły ideały kobiece, zwłaszcza Wanda i Jadwiga, między którymi chętnie stawiałam i Dąbrówkę, dla dopełnienia trylogii niewieściej. Dąbrówka jednak najmniej mnie porywała, Wandy jeszcze nie mogłam dobrze wyrozumieć, więc najpierw rzuciłam się do Jadwigi. Miał to być dramat nie sceniczny, ale fantastyczny, niby jak *Faust* czy *Manfred*, z chórami na niebie i ziemi. Plan osnuł się wcale dobrze, ale gdy wzięłam się do jego wykonania, przebóg! dopiero wtedy zobaczyłam, jaka jest przepaść między tworzeniem krótkich wierszy a długich poematów.

*Jadwigę* napisałam wówczas aż dwa razy, ale, niestety! oba rękopisy najokrutniej nie podobały się moim rodzicom, a wkrótce potem i mnie samej. Na domiar zniechęcenia dorwałam się do arcydzieła Szajnochy: *Jadwiga i Jagiełło*, a wobec tych obrazów takich żywych, takich kolorowych, mój poemat, pływający we mgle abstrakcji, wydał mi się cmentarnym widmem. Powiedziałam sobie, że jeszcze za wcześnie na taki trudny przedmiot i obie *Jadwigi* poszły do szafy, gdzie dotąd leżą, czekając zmartwychwstania (które już po części nastąpiło, jak się to poniżej pokaże).

Powstawały w tymże samym czasie i dwa inne fantastyczne dramaciki; jeden pod tytułem: *Dwie księgi*, osnuty na przepysnej legendzie z życia Stanisława Lubomirskiego, zwanego „Salomonem polskim”. Ten przedmiot bardzo mnie przykuwał, bo przedstawiał zakrój wysoce filozoficzny; jeden też zeń *Monolog*, ogłoszony w pismach, zyskał sobie łaskawe uznanie. Całości jednak wówczas nie skończyłam, bo jeszcze była dla mnie za ciężka. Drugi dramacik fantastyczny, także osnuty na legendzie, ale nierównie starożytniejszej, otrzymał nazwę *Tomira*. Ten utworek został skończony, w krótkim czasie wydany i w pierwszej chwili dosyć się podobał. Jednak moi rodzice i ja pożałowaliśmy szybko, że poszedł do druku, bo czuliśmy całą jego niedojrzałość. Rada bym też zapomnieć, że kiedykolwiek istniał.

3. W r. 1854 musieliśmy wyjechać za granicę dla zdrowia mojego ojca, którego zaczynały nawiedzać dolegliwe cierpienia. W Karlsbadzie spotkał nas kasztelan Franciszek Wężyk, dotąd tylko z listów znajomy, i od tej chwili zawiązał się ten stosunek opiekuńczej przyjaźni, jaką do końca życia mnie obdarzał, a która była tym cenniejszą, że ów człowiek, słynny ze złośliwości, gryzący wszystkich i wszystko, dla mnie jednej miał samą tylko dobroć i wyrozumiałość. Oświadczył on nam serdecznie, że wszyscy ci krakowianie, którzy tak jak on myślą, chcieliby nas widzieć w swoich murach, ażeby gościnnym przyjęciem wynagrodzić niejako nieprzyjazną postawę kilku tamtejszych dziennikarzy. Nie godziło się odmówić tak miłych zaprosin, toteż drogę powrotną skierowaliśmy na Kraków i ten drugi w moim życiu



pobyt pod Wawelem, choć tylko trzydniowy, stał mi się pamiętnym, tym więcej, że został jeszcze upamiętniony i książką Zygmunta Kaczkowskiego. Książka ta, niezmiernie mi życzliwa, nie jest jednak bynajmniej tak bezwzględnie pochwalną, za jaką uchodzi; w każdym razie była ona rycerskim wystąpieniem przeciw namiętnym napaściom i dużo w swoim czasie narobiła wrzawy.

4. Tymczasem na miejsce pogrzebanych *Jadwig i Lubomirskich*, nowa ogromna praca rozwijała się przede mną. Tym razem porzuciłam kształt dramatyczny, który dotąd jakoś mi nie plużył, a rozpoczęłam poemat epicki w dwudziestu czterech pieśniach, pt. *Piast*.

Do tego przedmiotu wabiło mnie niezgłębione, a jeszcze prawie nietknięte, bogactwo mitologii słowiańskiej, wabiły mnie opisy naszej polskiej przyrody oraz tragiczność losów Popielowych, a na koniec i charakter głównego bohatera, bardzo niezwykajny. Z niesłychanym zapalem szła mi ta robota, chociaż trudno sobie wystawić, ile przy niej musiałam połknąć i przetrawić najnudniejszych książek, wszelakich Lelewelów, Maciejowskich, Chodakowskich, Ossolińskich, Wójcickich, *é tutti quanti*. Ciężkie to były studia, lecz za to spoza owej mgły jakież cudowne wschodziły krajobrazy! Jakież przepyszne zmartwychwstawały postacie!

Cała nasza przeszłość dziejowa przedstawiła mi się jako szereg poematów, to dramatycznych, to epickich, słowem setnokształtnych, ale łączących się w jeden brylantowy łańcuch. A tuż obok łańcucha *d z i e j ó w* snuł się przede mną i drugi łańcuch *b a j e k* ludowych, niklejszy, ale równie śliczny, podobny do drugiego łuku podwojonej tęczy. Ten bledszy łańcuch przedstawiał mi się także w szeregu poemacików, którym chciałam dać ogólną nazwę *Wędrówka po krainie czarów*.

Tak więc zamierzałam przeprowadzić dwa równoległe szeregi prac poetycznych, z których jeden zawierałby prawdę naszych dziejów, a drugi wszystkie nasze *l e g e n d y i b a ś n i e*. Ale wkrótce spostrzegłam, że jeden z tych pierwiastków musi wsiąknąć w drugi, że prawda dziejowa nie może być oddzielona od legend i cudowności, bo inaczej straciłaby całą swoją poezję. Porzuciłam więc myśl osobnego spisywania *Wędrówki po krainie czarów*, a postanowiłam wszystkie moje skarby, tak podaniowe, jak dziejowe, zamknąć w jednej ogromnej budowie, na której frontonie przedstawił mi się świetlanymi zgłoskami napis: *Polska w pieśni*.

Już chyba nikt na świecie nie przystosował dosłowniej tego wiersza Mickiewicza: „Mierz siły na zamiary, nie zamiar według sił...” Złudzenie młodości! Wyobrażałam sobie życie jako coś tak długiego, miałam przy tym jeszcze tak mało pojęcia o przepastnych trudnościach sztuki, że zamiar ów zdawał mi się wykonalnym. Pamiętam, jak obliczałam sobie: co, w jakim roku mam napisać? Wypadały mi mniej więcej dwa poemata rocznie; na bardzo długie utwory dawałam sobie z łaski swojej cały rok okrągły. Tak rachując, nie dziw, że przed zgrzybiałością mogłam dojechać do końca *Polski w pieśni*.

Tymczasem już przed wiekami powiedziano: *Ars longa — vita brevis*. Dziś, po czterdziestu kilku latach nieprzerwanej, cyklopowej pracy, widzę, że z owego gmachu ledwie kilka głazów obrobiłam i szczęśliwa będę, jeśli potrafię urzeczywistnić choć dziesiątą część moich marzeń! A jednak nie żałuję, że mój zamiar był tak zuchwały. Kto sobie zamierzy zrobić tysiąc, ten zrobi przynajmniej sto, a kto zamierzy tylko sto, ten zrobi zaledwie dziesięć.

*Audaces Fortuna iuvat.*

5. W r. 1855 znów musieliśmy jechać do wód zagranicznych, już nie tylko dla ojca, lecz i dla mnie, w owym roku bowiem zapadłam na różne chroniczne cierpienia i odtąd już nigdy nie odzyskałam zdrowia. Podróż ta upamiętniła się dla mnie przez poznanie różnych znakomitych ludzi, których w kraju nie mogłabym spotkać.

W Brukseli odwiedziliśmy naszego bliskiego krewnego, Joachima Lelewela. Widziałam go w tym sławnym jego pokoiku, założonym od podłogi do sufitu księgami, z owym szarym kubrakiem i spiczastą, bielusięnką głową. Rozmowa jego bardzo mnie zdumiała; sądziłam, że usłyszę straszego trybuna, tymczasem okazał się dziwnie wesoły i nieledwie pusty; raz tylko, gdyśmy zaczęli o rok 1830, wybuchnął kilkoma słowami, które starczyły za całą filipikę.

W Ostendzie czekały mnie dwa gatunki wrażeń. Dla oczu widoki morza z bajecznymi bałwanami, z czarodziejską fosforescencją, z potęgą żywiołów, o jakiej dotąd nie miałam pojęcia. Dla duszy — zaznajomienie się z paryską i belgijską Polonią, która tam licznie na jesień ściągała. Wśród owych szanownych postaci emigranckich wyróżniał się urodą generał Skrzynecki, starzec przepyszny, jak posąg z marmuru, a mnie najwięcej pociągał ksiądz Aleksander Jełowicki, dusza wulkaniczna, równie namiętny Polak, jak namiętny chrześcijanin; gdyby więcej takich ludzi było, świat poszedłby innymi torami, niż idzie. A jakim on umiał być przyjacielem! Szczęśliwy, kto, jak ja, zakosztował mocy i słodyczy jego przyjaźni!

W Ostendzie to emigranci słyszeli mnie po raz pierwszy improwizującą, a ta okoliczność, powtórzona później parokrotnie, odnalazła się w zaszczytnej niespodziance, o której wspomnę poniżej.

Zagraniczne leki nie polepszyły mi zdrowia. Jednak za powrotem, nie tylko sobie nie umniejszałam pracy, lecz, owszem, ją podwoiłam:

*Sobieski* spać mi nie dawał... W niecierpliwym rwaniu się do tego przedsięwzięcia, przyszło mi na myśl pytanie, czyby nie można dwóch poematów pisać jednocześnie? Zdawało mi się, że głowa, znużona jednym przedmiotem, będzie odpoczywała przy drugim, i nawzajem. Zaczęłam więc *Sobieskiego pod Wiedniem*, nie porzucając wcale *Piasta*, i przez trzy lata obie te roboty szły razem, zajmując mnie równo, a każda inaczej, bo każda miała inny koloryt i odmienną budowę wiersza. *Piast* był pisany wierszem rozmaitym, fantazyjnie mieszanym, *Sobieski* zaś strofą dziesięciowierszową. Taką samą, w jakiej obecnie go piszę. Jednak do moich poematów narodowych brakowało mi co chwila tła malowniczego. Chciałam koniecznie poznać dobrze kraj własny i postanowiłam w tym celu odbywać co rok jakąś pielgrzymkę.

Zaczęłam w roku 1856 od Lechowego Gniezna i Popielowej Kruszwicy. Zajrzałam i do Poznania, gdzie gorące przyjęcie rozgrzało mi serce i natchnęło niejedno gorące przemówienie. W roku 1857 Pojechałam z ojcem na Rugię, to najdawniejsze ognisko słowiańskich podań i wierzeń. W r. 1858 jeździliśmy nad Bałtyk, do Malborka i Gdańska. W r. 1859 zwiedzaliśmy Ojców, następnie zaś Sandomierskie, a głównie Górę Świętokrzyską. Na koniec w 1860 r. wszecz i wzdłuż przemierzaliśmy Tatry.

Wszystkie te podróże opisywałam kolejno, a z wrażeń rugijskich wysnułam jeszcze i kilka osobnych poematów, jak *Miłość bogów* i *Duchy na Rugii*. Ówczesne dzienniki pełne są tych moich opisów i poezji. Chcieliśmy w następnych latach zwiedzić i Litwę, i Podole, i Ukrainę, aż do najdalszych kresów. Niestety, zwrot wypadków politycznych uniemożliwił te pieszczone zamiary.

Tymczasem z moimi wielkimi poematami działy się rzeczy niespodziane. Popchnęłam je tak silnie oba, że w r. 1857 *Piast* już miał dwanaście tysięcy wierszy, a *Sobieski* miał już sześć tysięcy. Oba mogły już ujść za skończone i gazety nie omieszkały rozgłosić tej wieści. Z niektórych też próbek wolno było wnioskować, że te rzeczy bardzo się podobają. Sama widziałam, jak przy głośnym czytaniu wyjątków z *Piasta* i *Sobieskiego* starcy zalewali się łzami, młodzieńcy stawali w płomieniach.

Aż tu nagle stało się dziwo. Z dwóch epopei wynikła tragedia... wprawdzie cicha, zamknięta w czterech ścianach, ale nie mniej sroga. Kiedy porządnie i kilkakrotnie odczytałam te prace, zobaczyłam... że obie niegodne są druku. Tym razem już moi rodzice nie potrzebowali

wpływać na moje zdanie. Sama czułam i widziałam jasno, że, mimo niektórych udatnych ustępów, *Piast* jest zanadto rozwlekły, *Sobieski* zanadto pompatyczny, a oba dzieła są blade i pozbawione ż y c i a. Ale bo też, nie mieć lat dwudziestu pięciu i chcieć, aby się udały aż dwie epeje, to także dzika pretensja! Owińłam tedy starannie owe osiemnaście tysięcy wierszy i złożyłam je obok *Jadwigi* w tej nieszczęśliwej szafie, która zamieniała się powoli na istne mauzoleum dla moich rękopisów.

„Operacja” była przykra, jednak nie odjęła mi odwagi, bo czułam, że z tych dwóch bitew, choć przegranych, wyniosłam wielkie zdobycze.

Najlepszym dowodem wprawy i postępu stała się ta okoliczność, że utwory, które zaraz potem napisałam, już mogły wytrzymać próbę druku. Były to cztery poematy. Najprzód *Lech*, zaczęty i skończony w r. 1858, a następnie *Wojna Olbrzymów*, *Wyszymir* i *Dwunastu Wojewodów*, które wszystkie zrodziły się w przeciągu jednego, 1859, roku. Dzieła te, co prawda, nie odpowiadały jeszcze ani moim żądaniom, ani oczekiwaniu rodziców, jednak powiedzieliśmy sobie, że o d b i e d y już można je ogłosić, i że raz przecie trzeba dać początek owej marzonej *Polsce w pieśni*.

Zaraz po ukazaniu się *Lecha* spotkał mnie wysoki zaszczyt: upominek zbiorowy od Polaków zamieszkałych za granicą (od Emigracji). Była to bransoletka z przepysznych emalii, przedstawiających patronów kraju i stosowne godła. Niewymownie rozczuleni tym darem, w końcu 1860 roku pojechaliśmy do Paryża dla podziękowania dawcom. Paryż francuski mało mi się podobał, ale ówczesny Paryż polski, zaludniony jeszcze szanowną Emigracją z trzydziestego roku zachwycił mnie i rozrzewnił. Mnóstwo tam posypało się improwizacji, z których większa część zaginęła.

6. Za powrotem do Warszawy zaczęłam znowu skwapliwie tkać dalszą osnowę *Polski w pieśni*. *Dwunastu Wojewodów* doprowadziło czytelnika do czasów Krakusowych. Teraz więc przedsięwzięłam wielką trylogię pod trzema nazwami: *Krakus*, *Synowie Krakusa* i *Wanda*.

Wróciłam na nowo do formy dramatycznej, ale do tak zwanej „Szekspirowskiej”; była to p r o z a która w chwilach większego ruchu stawała się b i a ł y m w i e r s z e m, a przy najwyższych uniesieniach nabierała i r y m ó w. Zdawało mi się, że taka rozmowa powinna wybornie wyglądać na scenie; przy cichym jednak odczytywaniu brały mnie czasem niejaki wątpliwości.

Od roku 1860 do połowy 1862 napisałam w tym kształcie większą część *Krakusa* i caluteńką *Wandę*. Nikt nie znał tej nowej pracy. Rodzice moi, sparzywszy się na dawnych, nie chcieli już sądzić całości z wyjątków i czekali cierpliwie ukończenia trylogii.

W tymże czasie pisałam także wiele rzeczy krótszych, zwłaszcza lirycznych, bo chciałam dowieść, że i ten dział nie jest mi obcy. Wszystkie one miały być kiedyś zebrane w jedną całość i wydane pod nazwą *Moja lira*. W tych utworach próbowałam rozmaitych form wiersza i strofy, zupełnie na owe czasy nowych, i z nich to dostrzegałam najwyraźniej, że czynię ciągle postępy. Taki *Hymn do Nadziei*, taka *Oda do Czynu* mają styl nierównie silniejszy i lapidarniejszy niż moje dawne poezje.

7. Uplętnęło też już lat dziesięć od zaczątków improwizacji. Ta pierwsza moja młodość była zamyślona, zapracowana i niezmiernie poważna. Nigdy nie tańcowałam, nie znałam ani znać chciałam żadnych innych zabaw, oprócz zgromadzeń w domu rodzicielskim. A miałam też i niemałe troski: ciążyło wciąż nade mną poczucie owego długu, z którego wypłatą szło jakoś tak twardo; złe zdrowie utrudniało pracę; różne głuche cierpienia zalegały duszę. Jakie? To już nie należy do tej książki. Po co ludziom opowiadać swoje troski? Czy każdy dzień i każde serce nie ma dość swych własnych?

Inne jest posłannictwo poety. On nie powinien się skarżyć, bo to najłatwiej! On powinien spełniać to, co jest najtrudniejsze: koić i dodawać odwagi. Już i wtedy rozumiałam to doskonale, kiedy we wstępie do owej książki, co miała nosić nazwę *Moja lira*, znajduję następną strofę:

Bądź więc, o Pieśni, harf niebieskich echem!  
Nie dziel się z ludźmi żadnej łzy kropelką,  
Ale się każdym dzielaj uśmiechem,  
Bo Pieśń powinna być Poczyszycielką.

Ale jeżeli nie określam, jakimi były moje cierpienia, to mogę powiedzieć, *j a k i m i n i e b y ł y*. Nie były nigdy ani romansowe, ani spowodowane krytyką literacką. Romansowymi być nie mogły, bo między rodzicami a mną istniał stosunek tak bezgranicznego zaufania, że kogokolwiek wybraliby rodzice, na tego byłabym przystała bez namysłu, a kogokolwiek wybrałabym sama, na tego rodzice byliby się niezawodnie zgodzili. Ale ani jeden, ani drugi z tych wypadków nigdy się nie zdarzył.

Zanadto byłam przejęta moim powołaniem, aby mogło mnie skusić jakiegokolwiek inne, a ponieważ rodzice w łaskawości swojej nie pragnęli pozbyć się mnie z domu, więc mogłam w nim pozostawać, wierna ich służbie i Duchowi Pieśni.

Co do krytyk literackich, te nigdy, przynigdy nie napędziły mi chwili gorczy, bo jeśli pisałam, to nie dla *p o w o d z e n i a*, ale jedynie z poczucia *o b o w i ą z k u*. Dobrze rozumiałam, że jak z początku nadto mnie chwalono, tak później nadto ganiono, potem nadto milczano — wszystko to były rzeczy przewidziane od samego początku. Przesuwały się też one koło mnie bez żadnego wpływu na moje życie ani pracę, jak potok, co pędzi koło dróżki, ale nie może jej zabrać, bo dróżka idzie wyżej na pochyłościach górskich.

Nie sztuka też to była mieć trochę filozofii, kiedy posiadałam rodziców, którzy ciągle ujmowali się za mną, którzy o każdą moją krzywdę gniewali się całym sercem. Łatwo mieć odwagę temu, co stoi za murem.

8. W jesieni 1862 roku, za rządów margrabiego Wielopolskiego, stosunki społeczne i towarzyskie stały się tak naprężone, tak dla nas niemożliwe, że moja matka i ja musiałyśmy opuścić Warszawę i udałyśmy się do Włoch, gdzie też, wedle zdania doktorów, miało się polepszyć zdrowie mojej matki, bardzo już od kilku lat podupałe. Mój ojciec, niestety, nie mógł nam zaraz towarzyszyć, ale miał na wiosnę połączyć się z nami.

Wrażenia z Włoch uniosłam dziwne. Dzieła ludzkie, jako to: gmachy, rzeźby, obrazy, nad wyraz mnie zachwyciły. Ale do tamtejszych ludzi, do tamtejszej przyrody i klimatu nie mogłam przywyknąć. Prawda, że ów klimat, zamiast pomóc mojej matce, zaszkodził jej srodze, co niezmiernie zasępiło naszą podróż.

Opisałam ją całą, ale w tym opisie ledwie kilka ustępów można z zajęciem odczytać, reszta powinna pójść do mauzoleum. Prawda, że wrażenie też było niezupełne, poznałam tylko Wenecję, Mediolan, Genuę i Florencję. Rzymu nie widziałam. Miałyśmy tam jechać dopiero na Wielkanoc, razem z ojcem, tymczasem już w początku roku 1863 gromem spadła na nas wiadomość o zbrojnym Powstaniu i zamiast żeby ojciec miał do nas przyjechać, myśmy co prędzej do niego powróciły, bo w chwilach niebezpieczeństwa możnaż nie być razem? A przy tym, godziłoż się Polkom odpoczywać w Auzonii, podczas gdy w kraju krew się leje?

Mimo burz, utrudniających żeglugę powrotną, nim skończył się marzec, byłyśmy w Warszawie. A wracałyśmy już nie do tego Saskiego Pałacu, gdzie nam osiemnaście lat spłynęło; w ciągu zimy rząd go zakupił i dla wojskowych przeznaczył. Po niejakej tułaczce przenieśliśmy się na drugi koniec Saskiego Ogrodu, do domu Zwejgbauma, jednego z dwóch,

co stoją koło Żelaznej Bramy. Mieszkanie na pierwszym piętrze, z gankiem i widokiem na zieloność, było bardzo piękne, ale w rozkładzie niewygodne i od strony ogrodu smutne.

Ach, nie próżno smutne! W domu tym spotkać nas miały największe nieszczęścia. A naprzód, w ciągu lata, ciężko zachorowała i wkrótce zesła z tego świata moja siostra. Do tej żałoby domowej dołączyły się czarne dni i czarne noce owego strasznego roku. Nastąpiły aresztowania i wywożenia, aż przyszła taka noc listopadowa, kiedy i do nas zadzwoniono... Służący spał już dawno. Myśmy jeszcze siedzieli we troje wkoło lampy i głośno czytali *Pana Tadeusza*. Gdy mój ojciec otworzył, w progu pokazał się oficer — sień, schody i dziedziniec były pełne żołnierzy...

## IV

### NA WYGNANIU

Całej by książki potrzeba, i to niemałej, ażeby wiernie opowiedzieć naszą wygnańczą wędrowkę. Chciałabym kiedyś tę książkę napisać (jeżeli życia na to starczy), dziś króciuchny tylko jej szkic podam, a najprzód nadmienię, że w owym czasie doznałam niesłychanych cierpień, ale i największego w życiu szczęścia.

Cierpieniom nikt nie zaprzeczy. Widzieć najdroższą sobie istotę aresztowaną, uwięzioną, porwaną w nieznane strony, to są wrażenia, których ludzka mowa nie wyrazi.

Jak tylko dowiedziałyśmy się, że mój ojciec ma być wywieziony, w tejże chwili zajaśniała mi myśl jechania z nim razem. Niecierpliwość mnie ogarnia, kiedy ludzie nazywają ten krok p o s w i ę c e n i e m. To nie było żadne poświęcenie, to było dogodzenie najgwałtowniejszej potrzebie serca, to było uchwycenie się jedynej pociechy, jaka mi w tym nieszczęściu zostawała. Zresztą, czyż to nie był najprostszy obowiązek?

Wprawdzie bolała mnie myśl chwilowego rozłączenia się z matką, ale rozłączenie to miało być krótkie; matka chciała także zjechać do nas, wprawdzie nie od razu, bo pierwszej musiała urządzić interesa majątkowe, odnając mieszkanie, wybrnąć z owych tysiącznych powikłań, które nastają przy zupełnym przewrocie stosunków życiowych — wszakże, umówionym to zostało między nami, że jak tylko będzie jej wiadome stałe miejsce naszego pobytu i jak tylko trochę się w nim urządzimy, zaraz i ona tam wyruszy w towarzystwie jakiego krewnego. Byłyśmy wtedy przekonane, że ojciec zostanie zesłany do jakiegoś większego miasta, na drodze kolejowej lub gdzieś w jej sąsiedztwie. Było to złudzenie. Ach, jeszcze nie miałyśmy pojęcia ani owych dróg, ani owych osiedlin! Ale w każdym razie było to szczęśliwe złudzenie, kiedy nam na długo dodało odwagi.

Mnie tymczasem o to chodziło napierwej, ażeby mój ojciec nie odbywał podróży samotnie. A jednak, razem z nim wyjeżdżać z Warszawy było rzeczą niedozwoloną. Osoby wysoko stojące podsunęły nam radę, ażebyśmy dogoniły ojca w drodze, a resztę zdały na Opatrzność.

Z cudowną szybkością otrzymawszy paszport, puściliśmy się obie ku Petersburgowi, i — o szczęście! w Pskowie doścignęłyśmy całą „partię” wygnańców. Byli oni umieszczeni w hotelu, mogłyśmy więc od razu złączyć się z moim ojcem. Psków jest miastem biednym i smutnym, ale jakże wydał mi się uroczy dzięki owemu złączeniu, owej radości, z jaką nas ojciec ujrzał!

Wprawdzie ta radość została znów zaciemnioną, bo tam znowu się okazało, że nie wolno razem z wygnańcami odbywać podróży. Jednak widok mojej boleści tak jakoś wzruszył władze, że otrzymałam w y j ą t k o w e pozwolenie towarzyszenia memu ojcu w drodze.

Nastąpiła ciężka chwila rozstania się z moją matką; słodziła ją, co prawda, nadzieja szybkiego połączenia, zawsze to jednak było prawdziwe dla serc naszych rozdarcie. Ach, widzę ją jeszcze łzami zalaną na „perronie”.

A myśmy się puścili w ową tajemną drogę, gdzie nikt nie wiedział, dokąd zmierza. Jechało nas przeszło trzydzieści osób w jednym ogromnym wagonie, a że był trzeciej klasy, twardy i nieopalanany, więc przy grudniowym czasie, jeśli kto się oparł o ścianę, to mu włosy do niej przymarzały.

W Moskwie trzymano nas przez pięć dni w więzieniu. Piątego dnia dopiero przyszła od ministra lista, wskazująca, kto do jakiej guberni ma jechać, bez naznaczenia wszakże samego

miejsca pobytu, co miał dopiero skutecznić właściwy gubernator. Każdy więc musiał jechać najpierw do swego miasta gubernialnego. Dla nas przypadł Kazań.

Do Niżnego Nowogrodu wieziono nas jeszcze razem, ale tu już kończyła się droga żelazna i tu nastąpiło ogólne żegnanie się z towarzyszami podróży, z którymi te dni wspólnych cierpień związały nas niejedną nicią, chociaż... nie ze wszystkimi.

Odtąd każdy już musiał radzić sobie z osobna. Nie mając pozwolenia na pójście do miasta, musieliśmy na poczcie kupić co się trafiło, rodzaj starej karetki na saniach, najśmieszniejsze w świecie pudło dziurawe, poobijane rogózkami. Ciasno tam było i niewygodnie, ale, prawdę mówiąc, uczuliśmy się szczęśliwi, że jesteśmy już tylko we dwoje i że możemy na koniec rozmawiać poufnie, co w ciągłym dotąd tłumie było niewykonalnym.

Po drodze nie spotykaliśmy żadnych ciekawości. Kraj pusty, bezleśny, poprzecinany głębokimi jarami, śniegi bezbrzeżne, które olśnionym oczom wydawały się czasem purpurowe, wichur szalejący dniem i nocą. Jediną ciekawością była ludność miejscowa, Czuwasze, plemię fińskiego pochodzenia, mówiące językiem, który nam dziwnie przypominał węgierski. Ale jakże ci bracia Madziarów inaczej wyglądali! Nigdy się nie spodziewałam, abym nazajutrz po wysiąściu z wagonu mogła oglądać takich dzikich ludzi, a zwłaszcza takie dzikie kobiety! Czuwaszki nie noszą wcale sukien, ale są całe obszyte stułokciowym bandażem z płótna, który najwyraźniej rysuje ich kształty. Obszycie to, jaskrawo zahaftowane, póty się nosi, póki z nich samo nie opadnie. Po wierzchu rozwieszają różne szkła i zęby zwierzęce, a głowę stroją w blaszany diadem z wisiorami. W zimie, gdy na dwór wychodzą, kładą przynajmniej kozuch i wtedy podobniejsze są do ludzi, ale kiedy go w chacie zrzucą, wtedy chociaż się na nie patrzy, własnym oczom wierzyć się nie chce.

Żadnych w kraju zwalisk, żadnych pamiątek. Czasem tylko wieś o jednej ulicy, jeszcze rzadziej miasteczko, a w nim zawsze dwa główne budynki: cerkiew i więzienie. Trzeba jednak przyznać, że między cerkwiemi wiele jest prześlicznych, niezmiernie oryginalnych, a im bardziej podróżnik zdąża ku Wschodowi, tym więcej w nich odkrywa podobieństwa do indyjskich pagód.

Ale jeśli ciekawości było mało, za to niebezpieczeństw co niemiara; kraj, wszędzie falisty, czynił drogi śliskimi jak zwierciadła; spuszczenie się do jarów przedstawiało niezmiernie trudności, a już najstraszniejszą była przeprawa przez Wołgę, jeszcze źle zamrożoną. Wprawdzie żandarmi, tworzący naszą eskortę i odpowiadający za nasze życie, czuwali nad nami bardzo pilnie, ale przeciw żywiołom i żandarm nie pomoże. Mieliśmy nadzieję, że w Kazaniu będziemy mogli wypocząć, choćby za więziennymi kratami, tymczasem gubernator, przejrząwszy nasze papiery, kazał nam natychmiast ruszać znowu do jakiegoś J a d r y n a, o którym, jako żywi, nie słyszeliśmy nigdy.

Przebywszy na powrót Wołgę, i to w nocy, wśród kry i wodnych przepaści, musieliśmy wracać się o paręset wiorst drogi. Na koniec, dziewiętnastego dnia po wyjeździe ze Pskowa, dotarliśmy do Jadryna, miejsciny, złożonej z kilkudziesięciu chałup i kilkunastu dworców, tak grubo zasutych zaspami śnieżnymi, że tylko dachy wypukłały się cokolwiek nad ziemią, jakby jakieś białe mogiłki.

Pomimo tak żalonych pozorów urządziliśmy się tam wcale nieźle. Sprawnik miejscowy, stary syberyjski wiarus, był to człowiek szczery, który nikomu nie dokuczał. Mieszkaliśmy w chatce należącej do rodziny poczciwych półmieszczan, półchłopów, co nam okazywali nieklamane współczucie.

Zastaliśmy tylko trzech czy czterech wygnańców. Zaraz też przypadła wspólna W i l i a, która się u nas odbyła; wtedy jadłam po raz pierwszy sterleta; jest to rzeczywiście monarcha ryb, lepszy od łososia, a nigdzie nie można łatwiej go kosztować, jak w Jadrynie, bo miejscowość ta leży nad rzeką Surą, która jest najślawniejszym siedliskiem sterletów.

Ale po świętach wygnańcy zaczęli zjeżdżać coraz tłumniej, tak że wkrótce było nas już kilkadziesiąt osób. Z powiększoną liczbą ludzi skazanych na bezczynność i na gorzkie myśli,

a zwłaszcza z przybyciem kobiet, zamącała się piękna zgoda, jaka z początku panowała. W tym tłumie byli ludzie różnego wychowania, różnego wykształcenia, byli nawet i wcale niewykształceni, a wszystko to w imię „świętej równości nieszczęścia” rościło prawa do niejakich stosunków i wciąż się wzajem na siebie boczyło. Nas, co prawda, tylko czasem, i to słabo, dochodziły echa tych małomiasteczkowych zatargów. Byliśmy zawsze tak zajęci, że dzień nam ulatywał jak chwila, i wieczór, choć zimowy, nieskończenie długi, nigdy nam jeszcze nie wystarczał.

Trzeba się było rozpakowywać, urządzać, mieszkanie uczynić możebnym, zaopatrzyć się w mnóstwo drobnych gospodarskich sprzętów. Mój ojciec też nieraz rano chodził po sprawunki, wracał obciążony nimi, a był takiej gołębiej prostoty, że kiedyś przez całe miasto przeszedł, niosąc na ramieniu wysoką szczotkę do zamiatania izby.

Prawdę mówiąc, nie izby to były, lecz izdebki. Wszystkie trzy, jakie posiadaliśmy, zmieściłyby się z okładem w dzisiejszej mojej bibliotece. Piec mieliśmy tylko jeden, i to prosty, ceglany. Szyby w okienkach nie dorównywały rozmiarem zwykłej ćwiartce listowego papieru; większa też ich część była papierem posklejana. Wprawdzie na niektórych ścianach pstrzyły się kawałki starych obić, wiotko przybite gwoździkami, ale też to był jedyny splendor naszego mieszkania.

A jednak, jakże słodko dni mi tam upływały! Nie chodziliśmy prawie nigdzie, bo najlepiej nam było we dwoje. Tyle mieliśmy do mówienia! Tyle do roboty! Ja, co prawda, nie na wiele się mogłam przydać, bo jak w Warszawie, tak i tam, ciągle byłam chora, ale przynajmniej pilnie naprawiałam bieliznę, której mała ilość wzięta w drogę musiała na długo starczyć. Czytaliśmy też dużo, to razem, to z osobna, i nie zawsze drukowane rzeczy; trafiały się i rękopisma.

Przyjechał był też w moim kufrze podróżnym ogromny fascykuł, zawierający *Wandę* napisaną w owym kształcie niby szekspirowskim, o którym wspomniałam już powyżej. Mój ojciec jeszcze nie znał tej pracy. Biorąc ją w drogę, cieszyłam się, że taka gruba, przez co dłużej nam wystarczy na rozrywkę.

Toteż gdy się trafił pierwszy wieczór wolny od zajęć i od gości (było to między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem), rozłożyłam foliał na stole i zasiedliśmy uroczyście. Czytam pierwszy akt — niezmiernie długi... Czasem spod oka spoglądam na moją publiczność jednoosobową, lecz dla mnie ważniejszą niż świat cały. Publiczność milczy. Po skończonym akcie już nie mogę wytrzymać i zapytuję:

— Cóż tatko mówi na to wszystko? Czy to dobre? Czy nieźle?...

Mój ojciec, po chwili wahania, odpowiada:

— Czekaj... Teraz jeszcze nie mogę wypowiedzieć żadnego sądu... Czytaj dalej... Może później rzecz mi się inaczej przedstawi...

Czytam zatem akt drugi, ale już głos mi nieco zamiera. Publiczność milczy.

Nagle, w połowie drugiego aktu, mój ojciec się odzywa:

— Nie! To już nie do zniesienia. Póki jeszcze przechodzisz z prozy na biały wiersz, a z białego na rymowy, to sprawia prześliczne wrażenie. Ale kiedy z rymowego spadasz do białego, a z białego do prozy, to po prostu jest nie do zniesienia. Rozkład scen dotąd bardzo dobry, charakterystycznie utrzymane, plan wydaje mi się udany, ale ta nieszczęśliwa forma w naszym języku nie uchodzi. A przy tym jakież to okropnie długie!

Po takim wykrzyku przestaliśmy czytać i uznaliśmy oboje, że *Wanda* w tej postaci nie ma prawa do życia. O b o j e, bo i ja czytając, potajemnie doznawałam tych samych wrażeń, które mój ojciec głośno wypowiedział.

Zmartwił się mocno. Całą noc prawie oka nie zamknęłam. Ale ta bezsenność wydała dobry owoc. Przemógłszy troskę, postanowiłam całą rzecz przerobić na wiersz rymowy.

Zaraz też nazajutrz wzięłam się do początku drugiego aktu i na próbę przetopiłam w nim pierwszy monolog Rytygiera. Pokazało się, że przeróbka pomaga nie tylko na formę, ale i na



rozwlekłość; ów monolog, który w pierwotnym tekście zajmował całe trzy stronicie, teraz pomieścił się w szesnastu wierszach. Ucieszona pomyślnym probierzem i ojcowskimi zachętami, zaczęłam coraz gorliwiej popychać tę olbrzymią robotę i w Jadrynie zwierszowałam cały akt drugi oraz większą część trzeciego. Ile razy przybyło kilkanaście wierszy, zaraz je ojcu przynosiłam. Co to były za rozprawy, co za śmiechy i pustoty przy tym pisaniu prawie wspólnym! Po jednej nocy zmartwienia miałam teraz długie dni rozkoszy.

Trzeba też przyznać, że i ów tekst pierwotny, chociaż na pozór nieudany, teraz mi był bardzo użytecznym i przez pół ułatwiał mi pracę. Szyk obrazów, szereg myśli, zazębianie dialogu, wszystko już miałam gotowe, tylko szatę robiłam ciałniejszą i zgrabniejszą. Robota wdzięczna, która nam obojgu tak przypadła do smaku, że przez cały czas pobytu w Rosji była nam słodką ucieczką do kraju poetycznych wizji.

\* \* \*

Tkwiał jednak w naszym życiu jeden kolec, który wciąż nam zakrwawiał serce, to trudność porozumienia się z matką.

Poczta jadryńska tylko raz na tydzień chodziła. Listy, dwukrotnie cenzurowane, więc pozostające na łasce owych cenzorów, szły w najlepszym razie dwa tygodnie. Ale czasem i przez miesiąc wypadło na nie czekać; wtedy chodziliśmy jak struci. Nawet i odbiór listu niewiele nas pocieszał, bośmy sobie mówili: „Wszystko to stare wiadomości! Któż wie, co się tam od miesiąca stało?”

A niełatwo było i odpisywać. Z początku zatajaliśmy straszliwe biedy i niewygody naszego pobytu; nie chcieliśmy dodawać matce zmartwienia. Ale gdyśmy z jej listów zmiarkowali, że nie żartem się do nas wybiera, musieliśmy wyznać całą prawdę. Zdrowie mojej matki, bardzo wówczas już nadwyreżone, nie byłoby wytrzymało ani jednego tygodnia takowej podróży, ani jednego miesiąca takiego pobytu; wiedzieliśmy to dobrze i sumienie kazało nam ją przestrzec, ale szczerze nasze wyznania zgryzły ją więcej, niż można było przewidzieć, i odtąd już tylko nad tym pracowała, aby nas wydobyć z owej „dziury”, jak w Warszawie nazywano Jadryn.

Wprawdzie już moja matka nie była zupełnie osamotnioną; siostra mego ojca, przybywszy umyślnie do Warszawy, zamieszkała z nią razem i nie opuściła jej aż do naszego powrotu. Staraliśmy się też rozrywać mamę za pomocą długich i wesołych listów, a czasem i małych niespodzianek.

Najwspanialsza z nich zjawiła się na dzień 20 marca, w którym przypadały urodziny mojej matki. Przybył wtedy z Jadryna cały nabór podarków. A najprzód dwie skrzynki blaszane, gdzie w lodzie jechały zamrożone sterlety. Przy tym sławne jakieś rosyjskie pierniki oraz równie sławne pantofle. Na koniec, w różnokolorowych pudłach umieszczony był „meisterstick” naszej własnej roboty: m o d e l i k n a s z e g o m i e s z k a n i a w J a d r y n i e.

Była to rzecz mego wynalazku. Chciałam koniecznie, aby moja matka mogła sobie zrobić dobre wyobrażenie o naszym siedlisku, a chciałam też i sama na całe życie mieć pamiątkę tej wyjątkowej epoki mego życia. Zaraz po Nowym Roku (1864) już ubrdało mi się w głowie zrobienie jakiegoś niby teatrzyku, co by się składał i rozkładał, i póty ojca nudziłam, aż przystał na mój zamiar. A że oboje przepadaliliśmy za wszelkim w y c i n a n i e m i k l e j e - n i e m, więc nas ta robota niezmiernie bawiła. Wprawdzie o materiały nie było nam łatwo, jednak z tektury, ze starych kart, starych perkalików i kolorowych papierów zrobiliśmy, wpół uklejony a wpół uszyty, rodzaj domku, gdzie były wszystkie nasze pokoiki z piecem i mebelkami, aż do najdrobniejszych szczegółów, bo stały tan nawet i lichtarze, i samowar z filiżankami, a na stoliku leżał różowy papierek z powinszowaniem dla solenizantki. Wszystko to rozbierało się na części, które ślicznie do siebie przystawały. Przez cały styczeń i luty pracowaliśmy nad tym arcydziełem cierpliwości. Tymczasem też wieść o naszej robocie gruchnęła po miasteczku i zaczęli się schodzić na to widowisko nie tylko nasi towarzysze

wygnania, ale i rozmaici nieznajomi nam jadrynianie, którym bardzo pochlebiała wiadomość, że konterfekt jednego z ich domów pójdzie „na Europę”.

Istotnie w początkach marca wyszedł cały ów szereg upominków. Losy ich były rozmaite. Nieszczęśliwe sterlety nie wytrzymały ciepła wiosennego, jakie już panowało w Warszawie, i tylko nieznośnym „fetorem” objawiły swój opłakany przyjazd. Pantofelki okazały się użyteczne. Pierniki, rozdane między znajomych, posłużyły im za *Presse-papier*, bo twardością równały się porfirowi. Ale najwięcej wrażenia sprawiła *Ch a t k a J a d r y ñ s k a*. Jeśli oglądano ją nad Surą, cóż dopiero było nad Wisłą! Wszyscy nasi przyjaciele schodzili się, aby podziwiać tę miniaturową budowlę i nie tylko wtedy, ale i po wielu, wielu latach zawsze ona znajdowała ciekawych. Do dziś dnia posiadam ową *Ch a t k ę*, od czasu do czasu ją oglądam i niejedną już łzą tęsknoty skropiłam jej nadniszczony ściany.

Podczas kiedy w Warszawie marcowe słońce przygrzewało, u nas jeszcze szalone zimna trwały bez wytchnienia. Cała zima była bardzo ciężka. Często w pokoju musieliśmy wdziwać futra, a raz, gdy mróz trzydziestostopniowy trzymał przez dziesięć dni z rzędu, powietrze w mieszkaniach tak zrzędziało, żeśmy się zataczali jakby na okręcie. Inną razą — pamiętam — wyszedłszy na miasto, dziwiliśmy się, „jak dzisiaj ciepło?” Za powrotem do domu patrzymy na termometr, ten wskazuje piętnaście stopni Réamura. To się tam dla nas nazywało „ciepłem”.

Na koniec w kwietniu nastąpiły roztopy. U nas nikt nie ma wyobrażenia o podobnych zalewach. Bo cóż to za: góry śniegu tajały! Cały kraj stał pod wodą. Ogromny plac w Jadrynie, ubrany jakimi sześcioma czy ośmioma chałupami, wśród których była i nasza, zmienił się na rwące, burzliwe jezioro. Po tym jeziorze od domu do domu pływano łódkami, a fale spienione były z szumem o nasze okienka.

2. W takiej to chwili spadła na nas wiadomość, którą przyjęliśmy z niemalym zmartwieniem. Wskutek zabiegów poczynionych bez naszej wiedzy w Warszawie, przyszedł rozkaz przeniesienia nas do innej gubernii.

Była to niby łaska, bo mieliśmy zamieszkać w mieście gubernialnym, ale w jakim! W Symbirsku, o którym prawie nikt z warszawian za owych czasów nie wiedział. Ja przynajmniej pierwszy raz wtedy posłyszałam tę nazwę.

Żał nam było porzucać Jadryn. Jego mieszkańcy przestali się już nas lękać, jego władze przestały nas już podejrzewać. Na nowym siedlisku znów nas czekały nieznanne warunki.

Kupiliśmy też byli trochę starych mebelków, niemożliwych do przewiezienia, i nasza rogożowa karetka na saniach już nie mogła w tej porze roku służyć do podróży.

Cała kolonia wygnańców odprowadzała nas aż nad brzeg Sury. Popłakaliśmy się wszyscy — a kto najwięcej płakał, to jadryński sprawnik, co na równi z całym Jadrynem powziął był dla ojca mojego cześć niewysłowioną.

Pożyczył nam on swojego koczka, a za eskortę dał własnego zięcia, który piastował w miasteczku tym godność policmajstra. Dygnitarz ów, młody jeszcze, był niezłym człowiekiem i grzecznie rozpoczął drogę, bo nam oddał koczek, a sam jechał na koźle, ale dokuczył nam do żywego w sposób całkiem nadspodziewany. Prawie na każdej większej stacji miał jakichś znajomych, przychodził więc do drzwiczek powozu i prosił bardzo czule, abyśmy nie wysiadali i nie kazali przyrządzać jedzenia, dopóki nie wróci. „Wrócę — mówił — zaraz, tylko muszę tu kogoś na chwilę odwiedzić.” Ta chwila trwała godzinę, czasem dwie, czasem i cztery — a gdy zjawił się na koniec, to pijaniusięki jak bela. Wtedy już nie chciał o niczym słyszeć, tylko zżymał się, cały czerwony, i dla powetowania straconego czasu kazał natychmiast wyruszać. Tym sposobem przez wszystkie dni podróży nie mogliśmy nigdy zjeść ani śniadania, ani obiadu, i dopiero pod noc się zatrzymując, dostawaliśmy ciepłą strawę.

Niebezpieczeństwa tej drogi były bardzo wielkie. Mostów tam nie ma nigdzie, a choćby i były, to w tej porze roku powódź by je wszystkie na drzazgi rozniosła. Tak więc po dziesięć razy dziennie musieliśmy wprawdzie przejeżdżać przez wezbrane rzeki, a w miejscu gdzie Świaga łączy się z Wołgą, znaleźliśmy zupełne morze. Przyszła wnet po nas łódź spora; na niej pomieszczono i powozy, i konie, i nas wszystkich, i jak puściliśmy się na wichrzyste, wzbławianione głębie, tak od brzegu do brzegu płynęliśmy przez dwadzieścia i jedną wiorst, czyli całe polskie trzy mile!

Od Kazania już statek parowy przeniósł nas na miejsce przeznaczenia.

3. Symbirsk zaraz od pierwszej chwili uczynił na nas odpychające wrażenie. Było to jakby przecucie okropności, co nas tam czekały.

Miasto wprawdzie dosyć porządne; wiele domów murowanych; osiemnaście cerkwi, z tych niektóre stare i ciekawe; pałac gubernatora wcale niezły, zbudowany przy olbrzymim placu, na którym stoi posąg Karamzina; posąg spiżowy, bardzo piękny, a co jeszcze piękniejsze, to że mieszkańcy umieją się nim chlubić. Każdy dorożkarz, każdy najprostszy człowiek mówił do nas: „Widzicie wy? To sławny Karamzin! On tutaj, u nas się urodził.”

Ciekawy także widok przedstawiają prześliczne konie tamtejsze, te słynne konie symbirskie, co wiodą ród swój od arabskich.

Mnie też niemniej zaciekał widok Tatarów, snujących się po mieście; i nie tylko zaciekał, lecz i dziwił, bo to nie żadni krępi, niscy Nogajcy, ale Tatarzy Kazańscy, lud rosły i piękny, w czapkach z białej pilśni, podobnych do wywróconej lilii. Gdzie mogłam, to ich podpatrywałam, i tam już myśl moja zwróciła się pilnie ku tatarskiemu światu.

Ale prócz owych drobnych rzadkich zaciekawień, zresztą co za pustki, co za obumarłość w mieście! A ten kurz okrutny! W całej okolicy nie można znaleźć najmniejszego kamyka, więc ulice główne są wyłożone drogą bitą, a boczne pozostają, jak je Pan Bóg stworzył. Chodniki wszędzie drewniane.

Przez całe miasto idzie ulica długa i szeroka, niby jakieś „Unter-den-Linden”, tylko zamiast lip rozłożystych stoją rzędem wiotkie jak tiul, żółte akacje, jedyne drzewko, jakie tam jeszcze może się utrzymać.

A jednak nigdy w życiu nie zaznałam takich afrykańskich upałów, jak te, co tam nas pochwyliły. Zrozumieliśmy wtedy owe plemiona murzyńskie, które w pewnych porach roku uroczyście przeklinają słońce. Przed dziewiątą wieczór niepodobna było wychylić się z domu. A ta przedwieczna długość tamtejszych dni letnich! Przykrzyła nam się ona daleko więcej, niżeli długie noce. Przy lampie tak jest miło i czytać, i pisać! Tam zaś ów ciągły blask oślepiający nużył głowę do niezniesienia.

Szkodził nam i klimat, który w Symbirsku jest niezdrowy. Wszyscy tam chorują na rozlanie żółci i myśmy już zaczęli niepomiernie chorować.

Byliśmy też z początku niegodziwie pomieszczeni, w jakimś lichym domu zajezdnym, który nam władze naraiły. Za to w połowie lipca dostaliśmy mieszkanie bardzo ładne, świeżo wyklejone i wymalowane. Wszakże niedługo miała potrwać ta przyjemność.

Życie prowadziliśmy niezmiernie samotne. Z wygnańców nie było nikogo innego, a z miejscowymi nie pozwolił nam się poznawać tamtejszy gubernator, człowiek dziwnie tchórzliwy. Ledwie przeledwie przystał na księdza i doktora i to jeszcze dodawał: „Jak najrzadziej widujcie się z nimi, jeśli chcecie, abym o was dobre raporta wyprawiał.”

Miał wprawdzie ten pobyt dodatnie strony. Był ów ksiądz katolicki przy sporej kaplicy. Był telegraf, cudowny sposób szybkiego porozumiewania się z Warszawą. Było na koniec i niejake prawdopodobieństwo przyjazdu mojej matki do Symbirsk. Wprawdzie i tu zły klimat zagrażał jej zdrowiu, i tu długość drogi przerażała nas dla niej mocno, jednakże z czasem rzecz mogła przyjść do skutku.

Ale wkrótce i ta możebność znikła, nagle unicestwiona niespodziewaną katastrofą.

4. W ostatnich dniach sierpnia zaczęły się w Symbirsku dziwnie częste pożary. Po dwa, po trzy dziennie, i to w różnych dzielnicach, nie mających z sobą żadnego stosunku.

Pierwszego dnia rzecz wydała się przypadkową, drugiego — już budziła podejrzenia, trzeciego — już nikt nie wątpił, że miasto jest podpalone, jak to mówią, na czterech rogach.

Pomimo wszelkich środków ostrożności, pomimo najrozpaczliwszych wysiłków (bo niczego nie żałują ludzie, którzy bronią mienia i życia), straszny żywioł rozszalał się jak wulkan. Powstawały istne potoki ognia, które szły przez miasto w rozmaitych kierunkach, spotykały się i krzyżowały wzajem, a gdzie przeszły, tam już nie było po co się i schylić. Gdy taki potok płomienny nadchodził, wtedy na zagrożonych ulicach zjawiało się wojsko z bębniami i piszczałkami; to był znak dla mieszkańców, aby opuszczali domy i wynosili się za miasto.

Dzwony ciągle były na alarm, chociaż coraz mniej gęsto, bo coraz to któraś cerkiew, spaliwszy się, milkła. Aż w końcu wszystkie zamilkły.

Piątego dnia przysłała kolej i na naszą ulicę. Dzięki energii mego ojca, dostaliśmy telegę, mogliśmy na niej uratować rzeczy i wynieśliśmy się w pole, gdzie pierwszą noc przebyliśmy dosłownie *à la belle étoile*. I gdybyż przynajmniej gwiazdy były nam wiernie dotrzymały do końca! Ale nad ranem deszcz zaczął padać i musieliśmy sobie urządzić hotentocką budkę.

Deszcz nie potrwał. Ze wschodem słońca znów się wróciły owe przerażające upały, od których nigdzie nie było zasłony, bo wokoło miasta panował jeden step wyżółkły, a na kilkanaście mil w okrag wszystkie wioski także się paliły.

Szóstego dnia już cała dwudziestotysięczna ludność miasta obozowała na tym stepie. Gubernator ledwie uciekł z pożogi w pożyczanym płaszczu, pałac jego spłonął do szczętu, cały Symbirsk był już teraz jednym morzem ognia. Od bajecznego rozgrzania się atmosfery potworzyły się nad miastem trąby powietrzne, które, pędząc na pola, niosły żarzące węgle i całunem dymu zaciemniały słońce.

Wtedy wśród obozowisk powstał popłoch niesłychany, ludzie musieli co siły uciekać, bo kogo trąba dosięgła, ten zaduszał się w dymie lub gorzał pod ognistym deszczem. I myśmy ledwie z życiem uszli.

W owych godzinach nie tylko nam, ale i niektórym nieco wykształceńszymi symbirszczanom, przyszły na pamięć *Ostatnie dni Pompei*.

Nauczeni straszną przestrogą, przenieśliśmy się o całą wiorstę dalej. Tam z naszych kufrów (cudem uratowanych), z niektórych pożyczonych sprzętów, z der i prześcieradeł zbudowaliśmy sobie szałas, wprawdzie bardzo niski, ale dość obszerny; wchodzić tam nie można było inaczej, tylko na czworakach, za to raz usiadłszy, człowiek mógł sobie radzić wcale nieźle i na przekór losom humor nam tak dopisywał, żeśmy tam sobie czytali, mój ojciec gospodarował, ja cerowałam, a nawet napisałam spory ustęp *Wandy*.

Jednak wszystko to robiło się mniej więcej na głodno i tu spoczywało drugie niebezpieczeństwo, nie mniejsze od ognia; cała ta koczująca ludność była z a g r o ż o n a g ł o d o w ą ś m i e r c i ą. Urządzono wprawdzie na polach rodzaj żołnierskich pieców, gotowano tam jakąś niby zupę, ale to jadło było i okropnie drogie, i ohydne. Każdy też miał jakieś zapasiki, to wina, to pierników, to wędlin, wszelako przezorność nakazywała jak najoszczędniej używać tych skarbów.

Straszliwsze nad wszystko były noce. Chodziła nieustanna pogłoska, że na zakończenie podpalań będzie r z e ź. Kto miał kogo zarzynać? Nikt nie wiedział, ale można sobie wyobrazić, ile z tego powodu rodziło się podejrzeń i posądzeń! A już nikogo bardziej nie posądzano, jak nas, jedynych tam zesłańców.

Jest to rzeczą dla mnie do dziś dnia niezrozumiałą, jakim cudem ocaliliśmy wtedy? Bo jednak lud zabił kilkanaście osób. Kilkadziesiąt innych zginęło w płomieniach. Nas Pan Bóg otoczył jakąś tarczą nadziemskiej opieki, która sprawiła, żeśmy z tego dantejskiego piekła wyszli żywi, cali, stosunkowo zdrowi, nie straciwszy nawet nic z naszych rzeczy.

Ale co dusze nasze przeszły, tego i Dante by nie wyśpiewał.

Kto mógł, ten uciekał. Wózkami, statkami parowymi rozjeżdżano się tłumnie. My tylko jedni, przykuci do miejsca, nie mogliśmy się ruszyć i nie wiedzieliśmy wcale, jaka nas czeka przyszłość, aż sama przyroda podjęła się jej rozstrzygnięcia.

Nastał już był wrzesień, a skwary ciągle trwały. Sama widziałam, jak nasz termometr pokazywał w cieniu trzydzieści sześć stopni Réaumura! Tymczasem, gdy nadszedł dziesiąty dzień obozowania, wstawszy rano i odsunawszy derę, co zamykała wejście, wydaliśmy okrzyk podziwienia: pola były bieluteńkie! Przymrozek od razu chwycił. W ciągu dnia musieliśmy po części zburzyć nasz biedny szałas, ażeby otworzyć kufry i dobrać sobie futra. Przy takich warunkach niepodobna było dalej wytrwać w polu.

Z całego Symbirska nic nie ocalało, prócz nędznych kilkunastu dworków, położonych w niejakim oddaleniu nad wodą. Można sobie wystawić, ile rodzin dobijało się tam o mieszkanie. Jednak mój ojciec tak mądrze zabrał się do rzeczy, że potrafił wytargować dla nas dwa pokoje.

Gdyśmy się ujrzeni pod prawdziwym dachem, wśród prawdziwych drzwi i okien, gdzie nic nam na głowę nie kapalo, gdzie w nocy żadne zwierzę nie zaglądało, myśleliśmy, że jesteśmy w raju.

Wprawdzie i tam nie brakło zwierząt. Co wieczór seciny szczurów, goniąc się nad pułapem i za ścianami, wyprawiały tak niesłychany sabat, że gdy dla obrony zaprosiliśmy kota, choć kocisko było ogromne, czarne i złośliwie, przecież zlekło się, wydeło grzbiet i uciekło. Myśmy nie uciekli, bo też i nie mogliśmy już wrócić na pole; śnieg padał w najlepsze i w tydzień później była już pyszna sanna.

I tym to porządkiem zawsze rok toczy się dla tamtych guberni. Dziewięć miesięcy zimy twardej, nigdy nierozmarzającej. Potem sześć tygodni potopu. Dalej sześć tygodni senegalskich upałów. I znów dziewięć miesięcy zimy — i tak ciągle w kółko.

Pomimo szczurów, które ostatecznie, prócz strachu, nie zrzędziły nam żadnej szkody, było nam bardzo dobrze w tych pokojach., ciepłych, obszernych i widnych. Wróciliśmy do naszych zajęć, do naszych przeróżnych zabaw, coraz wdzięczniejsi Bogu, coraz bardziej nad sobą wzajem rozczeni.

5. Toteż prawdziwym dla nas ciosem był nowy rozkaz z Petersburga, który w końcu grudnia spadł na nas jak piorun, oznajmiając, że „z powodu spalenia się miasta Symbirska, mamy być przeniesieni do Penzy”. W czas się wybrano z tą łaską! W połowie września rozkaz byłby nas ucieszył, ale teraz, kiedy już całe cztery miesiące przebyliśmy na miejscu, kiedy trzydzieści stopni mrozu trzaskało w powietrzu, zgryźliśmy się okrutnie. Jednak nie było wyboru; podobne rozkazy muszą być wypełniane w przeciągu dwudziestu czterech, a najdalej czterdziestu ośmiu godzin.

Kupiliśmy co prędzej nową budę na saniach i w wilię Nowego Roku 1865 wyruszyliśmy, nieco już znużeni tym ciągłym prześladowaniem losu. Droga poszła dosyć spokojnie, ale w Penzie czekało nas nowe zmartwienie. Gubernator miejscowy, człowiek niegodziwy, tym niegodziwszy, że Polak, i niegdyś w Warszawie znany memu ojcu, drwiąc sobie z woli ministra, nie pozwolił nam zamieszkać w Penzie, ale wysłał nas do powiatowego miasteczka C z e m b a r u.

Ta ostatnia podróż, chociaż stosunkowo niedaleka, okazała się najbardziej przerażającą ze wszystkich. Za czwartą stacją chwyciła nas okropna zadymka; w kilka minut nie było już znać żadnej drogi, nie mogliśmy ani wrócić, ani rozpoznać, gdzie mamy ruszać dalej, całe powietrze zakłębiło się gęstym jakby ścianą śniegiem i przez piętnaście godzin błądziłszy w chaosie białości, w bezdennych ciemnościach, zagrożeni to zmarznięciem, to stoczeniem się w jary, to pożarciem przez wilki.

Taka noc stanie za sto lat.

Dopiero nad ranem, dosłyszane z daleka dzwony, doprowadziły nas do jakiejś wioszczyzny, skąd, po długich krażeniach, dotarliśmy na koniec do Czembaru.

6. Ludność w Penzeńskim składa się przeważnie z Mordwinów, którzy także są plemieniem fińskim. Kobiety ich ubierają się tak samo, jak Czuwaszki, z dodatkiem tylko grzywy końskiej, pomalowanej świetnie na kolor zielony, która z głowy im spada i całe plecy aż do kostek zakrywa, co wcale malowniczo wygląda.

Czembar okazał się nieco dostatniejszy od Jadryna. Zamieszkaliśmy na facjacie drewnianego dworku, w pokojach dość wygodnych, z wesołym widokiem.

Kolonie wygnańców znaleźliśmy bardzo liczną, złożoną przeważnie z Litwinów i Litwinek. Wiele tam poznaliśmy serdecznych i wykształconych osób, wiele mieliśmy odwiedzin i zaprosin, jednak zawsze najśłodziej było nam we dwoje. Wiadoma to prawda, że nic tak dusz ludzkich nie łączy, jak przebyte razem cierpienia. Cóż dopiero, jeśli te dusze już złączone były najsilniejszym rodzinnym węzłem? Toteż i my, przebywszy razem tyle niebezpieczeństw, tyle przerażeń i zgryzot, staliśmy się jakby jedna dusza w dwóch istotach. Nie potrzebowaliśmy przemówić, ażeby się zrozumieć. Co rano, schodząc na śniadanie, bieглиśmy ku sobie z tym okrzykiem radości:

- Ach, cóż to za szczęście, że jeszcze żyjemy! Że jeszcze jesteście razem!

Tak, co to było za szczęście! Czując, że jestem ojcu choć troszkę potrzebną, widząc, że mnie pokochał jeszcze więcej niż dawniej, ubóstwiając go co dzień mocniej, wśród wszystkich naszych trosk i zmartwień byłam tak bezgranicznie szczęśliwa, że nieraz myślałam sobie: „Gdyby wieczność mogła być taką!”

Bo też mój ojciec posiadał dziwny *d a r u s z c z ę ś l i w i a n i a*. Choć nie znałam człowieka, co by umiał równie głęboko czuć i cierpieć, nie spotkałam także drugiego, co by tak cudownie umiał nad swoim cierpieniem panować. W największych burzach i najprzyciejszych słotach życia, dusza jego zachowywała zawsze niezmaconą, lazurową *p o g o d ę*. W najmniejszej drobnostce umiał wyszukać pociechę, lada fraszką umiał się bawić, z tą „prerafaelityczną” niewinnością serca, której w nikim nie odnalazłam, chyba w postaciach, tworzonych przez błogosławionego Angelica z Fiesole. I ja uczyłam się przy nim tej sztuki *r o z p r o m i e n i a n i a s o b i e ż y c i a*. Toteż co to było ciągle wesołości, co figielków, czy przy gotowaniu jajek, czy przy rąbaniu cukru, czy przy pisaniu poezyj!

*Wanda* szła wielkimi krokami i już zbliżała się do kresu. W Symbirsku dopełniłam aktu trzeciego i napisałam czwarty. W Czembarze zwierszował się prolog, po nim cały akt piąty, a w końcu i niektóre sceny pierwszego, który szedł jakoś najoporniej.

A jeśli mój ojciec był zajęty *Wandą*, ja znów całą duszą wsłuchiwałam się w jego prace, bo i on, choć nigdy nie chciał uchodzić za literata z powołania, posiadał jednak bardzo piękny dar pióra. Od czasu do czasu pisywał prześliczne, wielce oryginalne powiastki, które w kółku przyjaciel znajdowały gorące przyjęcie, a od kilku lat już powoli tworzył większe dzieło; był to poemat obszernych rozmiarów, osnuty na *w s p o m n i e n i a c h r o d z i n n y c h i n a r o d o w y c h*, prawdziwe zwierciadło jego myśli i jego arcypolskiej duszy.

Teraz, na wygnaniu, mając więcej chwil wolnych, powrócił do tych prac gorliwie. Przybywały coraz to nowe, pieściwe powiastki, przybywały coraz rzewniejsze pieśni do poematu i tak oboje, przy dwóch stołach pisząc, schodziliśmy się przy trzecim, aby je sobie wzajem czytać.

7. Jednak w listach mojej matki, już nieraz przebłyskiwały nadzieje rychłego dla nas powrotu. Były tam i niektóre inne jeszcze przebłyski pociechy.

I tak, Opatrzność zrzędziła, że w ciągu owej zimy, do tegoż samego domu, w którym mieszkała moja matka, sprowadził się z rodziną pan Emanuel Wolff, który był już dawniej

znany moim rodzicom. Teraz i jego młoda żona poznała się z moją matką, a widząc ją tak samotną i smutną, okazała jej tyle serca, otoczyła ją tak czułymi staraniami, że moja matka nieraz odtąd mówiła:

„To moja trzecia córka”.

A w listach do nas pisanych, nie mogła się dość naopowiadać, ile osłodeń winna „tej uroczej pani Eugenii” — temu „aniołowi pociechy”.

Można sobie wystawić, z jakim rozczuleniem, z jaką wdzięcznością wczytywałam się w obraz tej nieznanym, a drogiej mi już istoty, co mnie niejako zastępowała przy matce! Jak pragnęłam poznać i uściskać tę słodką pocieszycielkę!

Pragnienie moje wkrótce się ziściło. W czerwcu przyszedł na koniec dla nas rozkaz uwolnienia. Droga powrotna, przedsiębrana w dobrej porze roku, poszła nam pomyślnie i dnia 2 lipca 1865 roku znaleźliśmy się w Warszawie.

Spotkania z matką nie dotykam piórem. Pierwszą osobą, jaką po matce spotkałam, była owa „słodka pocieszycielka”. Znalazłam ją jeszcze lepszą, jeszcze bardziej urocą, niżeli marzyłam, i odtąd serce moje przyłgnęło do niej na zawsze.

8. Kiedy moją *Wandę* wydobyłam z kufra, już kilka scen tylko brakowało do jej skończenia. Ale długo przyszło jej czekać na owo ukończenie. Ostatnia podróż i wrażenia powrotu wyprowadziły mnie z toku dotychczasowych myśli, a wkrótce też i niespodziana okoliczność pchnęła mnie ku nowym robotom.

Towarzystwo Dobroczynności zażądało, abym na jego korzyść przeczytała jaką moją pracę, a choć czasy były ciężkie, jednakże władze i cenzura, które dawniej nie chciały pozwolić na żadną moją publiczną deklamację, teraz okazały się powolnymi.

Pragnęłam wybrać rzecz stosowną do dzieł miłosiernych, a jednak byłabym chciała nie porzucać i mojej *Polski w Pieśni*. Stał mi na myśli przedmiot godzący oba te cele; była nim owa legenda z życia Stanisława Lubomirskiego, którą przed laty opracowywałam w dramaciku pt. *Dwie Księgi*, a potem porzuciłam jako rzecz niedojrzałą. Teraz, nadając jej kształt, już nie dramatyczny, ale opisowy, i zmieniawszy tytuł na: *Potęę jałmużny*, w krótkim czasie napisałam obraz tysięczwierszowy, gdzie strona realistyczna jest jeszcze, co prawda, niedość wypukłą, jednak w całości możebnie się przedstawia.

Opowieść tę czytałam dnia 28 grudnia 1865 roku w Teatryku Dobroczynności, gdzie na ów dzień zrobiono dekoracyjkę, stosowną do przedmiotu.

Był to pierwszy mój publiczny występ. Wyznaję, że niewiele doznałam przy nim trwogi, bo kto przechodził przez postrachy improwizacji, temu deklamowanie, i to z rękopismem w rękę, wydaje się zabawką.

Do publicznego czytania skróciłam poemacik prawie o połowę, ale całość została wnet wydrukowana w „Tygodniku Ilustrowanym”, w n-rze z dnia 6 stycznia 1866 roku.

Nie upłynęło dni kilka, już inne zakłady dobroczynne zgłaszały się także o współudział. Skorzystałam z tej sposobności, ażeby znów ubić jaką zdobycz dla mojej *Polski w Pieśni*. Tą razą mogłam nawet pozostać w epoce dobrze mi już znanej, bo wybrałam sobie za przedmiot dzieje pierwszych Leszków, które jako b a j e c z n e, upstrzyłam krajkami wyciętymi z różnych innych b a j e k. Praca ta nęciła mię niezmiernie, bo i chronologicznie dobrze mi wypadła, jako następująca tuż po *Wandzie*, i spełniała choć w części moje dawne marzenia o tej *Wędrowce po krainie czarów*, gdzie to wszystkie podania naszego ludu miały się łączyć w jedną całość.

Robota szła tak szybko, że już w końcu lutego 1866 roku na koncercie dobroczynnym deklamowałam część pierwszą. Część ta nosi nazwę: *Baśń o Wdowie i jej trzech synach*. (Mówiąc nawiasem, dziwię się, że ją pozwolono publicznie wypowiadać.) Do końca zaś roku napisałam i trzy następne części, z czego się utworzył poemat pt. *Gonitwy w Dolinie Prądnika*, całkowicie trzymany w stylu b a ś n i, prostodusznym, błyskotliwym i figlarnym.

9. Poemat brzmi wesoluchno, ale w jakichże niewesołych czasach on powstawał.

Po naszym powrocie z wygnania, zamiast wypoczynku i pociech, Czekwały nas nieskończone zgryzoty. Matkę moją zastaliśmy ze zdrowiem ostatecznie złamanym i z duszą tak zbolaną, że nawet nasze przybycie nie mogło już jej ożywić. A co jeszcze innych spotkało nas goryczy i zawodów! Ja w głębi duszy byłam oburzona tą niesprawiedliwością losów dla mojego ojca. Tymczasem on znosił to wszystko nie tylko już ze swoją dawną odwagą, nie tylko ze zwykłą sobie pogardą, ale z jakimś - że tak rzeknę - wniebowzięciem dyszy, które najobojętniejszych nawet zdumiewało. Zdumiewało - i zatrważało.

Kraży między ludźmi to przekonanie, że dusza, która już zupełnie dojrzała dla nieba, musi niebawem odpaść od drzewa doczesności. Toteż pamiętam, że kiedyś moja matka rzekła do mego ojca:

— „Nie róbże się taki doskonały, bo jeszcze cię Pan Bóg zabierze...”

Ach, słusznie mówiła! Słuszne były nasze trwogi, na widok tego coraz szybszego udoskonalenia się jego duszy, która już przybierała świetlaność i przezroczystość błogosławionych istot!

10. Ledwie nastał ów nieszczęsny dla mnie rok 1867, już objawiła się u mego ojca straszna, nieprzebaczająca choroba, która według doktorów przychodzi zazwyczaj w skutku „wielkich zaziębień i wielkich cierpień duszy”. Ach, i jednych, i drugich mu nie brakło! Nie tylko straszna to choroba, lecz i zdradna. Od lat kilku wyżerała go niewidzialnie, a nikt z nas jej się nie domyślał. Kiedy na koniec wybuchnęła, już było za późno na ratunek...

\* \* \*

Dnia 6 czerwca 1867 roku wśród męczeńskich cierpień odszedł do swego Stwórcy po nagrodę, odszedł, jak odchodzą wybrańcy Pańscy, błogosławiąc Bogu i ludziom.

Słońce mego szczęścia zgasło.

\* \* \*

Z tą chwilą dusza moja odczepiła się od ziemi. Gwałtem chciała lecieć za tym, który odszedł. Ale jakże lecieć? Przemocą wejść tam nie śmiałam, bo kto wchodzi przez inną bramę, ten może nie trafi do tych, których szuka. Ach, ja miałam nadzieję, że Bóg, w swej litości, sam na mnie zawoła!

W tym oczekiwaniu, w tej nieustannej modlitwie o w y z w o l e n i e, wszystkie inne władze mojej duszy zamilkły. Pióro też na długo zamilkło.

Raz tylko jeden próbowałam wyśpiewać moją boleść. Pieśń ta została niewykończona i dotąd nieskończona. Po prostu słów mi do niej brakło. Pierwszy to raz odczuwałam niesłychane ubóstwo i niedostateczność ludzkiej mowy. Uczucie to jest wyrażone zaraz we wstępnych strofach, które tu przytaczam jako jeden dźwięk z owego wykrzyku, nigdy niedo-słyszanego przez ludzi:

Po ileż razy moje łzy najkrwawsze  
Chciałam w pieśń zamknąć, jako do mogiły  
Składano niegdyś łzawnicę! I zawsze,  
Przy pierwszym słowie odbiegły mnie siły.

Czym suknia karła dla członków olbrzyma,  
Tym ludzkie słowo dla ludzkiej boleści.



Duch nieśmiertelny ledwie się utrzyma  
Pod jej ogromem — jakże w dźwięk ją zmieści?

Nad grobem siadłszy, harfę oniemiała  
U smętarnego zawiesiłam drzewa.  
I to milczenie, co z grobów powiewa,  
Usta me — jak by grób замуrowało.

Lecz wolnoż milczeć Najdroższa mogiła,  
O pieśń ma prawo upomnieć się u mnie.  
Pójdź harfo! Powiedz żałośnie i dumnie,  
Co posiadałam — i com utraciła!

\* \* \*

Tymczasem zdawało się, że litość Boża gotowa jest mnie wysłuchać. Zdrowie moje zaczęło padać w zwaliska. Przez długie miesiące doktorzy tracili przy mnie głowę, a ja z tajoną radością widziałam już zbliżającą się chwilę, co mnie połączy z ojcem. Ale nie dano mi było zyskać sobie tak szybko i tak tanio tę najwyższą łaskę. Nowy doktor, niespodzianie przywołany, zmienił cały sposób leczenia i na niewymowny mój smutek wyprowadził mnie z niebezpieczeństwa. Co prawda wyleczenie to było tylko pozorne, odtąd bowiem została mi już na resztę życia ta choroba sercowa, która teraz kończy swój wieloletni obieg.

A jeśli ciało nie mogło się już nigdy w zupełności podźwignąć, dusza tym bardziej pozostała na zawsze z niezamkniętą raną. Taka boleść się nie zabliznia. Od straty ojca nic już nie zdołało przywiązać mnie do życia. Odtąd, jeśli żyję, to zawsze tylko n a t y m c z a s e m, zawsze wyglądając i pożądam owę chwilę „połączenia”, którą — jak widzę — niełatwo jest sobie wysłużyć.

\* \* \*

Wówczas jednak nie bez celu Bóg wracał mi nieco zdrowia. Potrzebne mi były nowe siły. Matka moja coraz ciężiej zapadała. Po długich, okrutnie powtarzających się cierpieniach, zasnęła w dniu 17 marca 1869 roku.

Zgasły ostatnie światła mojej przeszłości. Nastął wieczór mego żywota.

## V

### O WŁASNYCH SKRZYDŁACH

Bóg jednak nie pozwolił, ażebym została w zupełnych ciemnościach. I tu jest jedna z chwil mego życia, w których najwyraźniej dostrzegam celowe działanie Opatrzności.

Oto w czasach, gdy słońce mego szczęścia zaczęło się już chylić do zachodu, wtedy właśnie, od drugiej strony widnokręgu weszła cicha gwiazda Przyjaźni, tak że choć później noc nastąpiła, nie straciłam drogi, bo błękitny promyk tej gwiazdy zaświecił mi dobroczyinnie i dotąd świeci jak drogowskaz.

W owej chwili osierocenia od moich najbliższych nie dagnałam tyle opieki ani tyle serca, ile mogłam ich się spodziewać. Jedną tylko moja przyjaciółka, pani Eugenia Wolff, okazała mi bezgraniczne poświęcenie, była mi niezłomną podporą, mądrą radą i niewyczerpaną pociechą, tym cenniejszą, że nie usiłowała mnie pocieszać czczymi słowami, ale umiała razem ze mną płakać. Ach, i ona była cierpieniem już wypróbowana! Już sama opłakiwała dwoje najmilszych dzieci... A ileż innych ciosów jeszcze ją czekało! Ileż klęsk serdecznych miałyśmy jeszcze razem w ciągu lat przeboleć!

Nie dziw, że znalazłszy w niej tyle wspólnych uczuć i myśli, zamarzyłam o zamieszkaniu pod jednym z nią dachem. Na nieszczęście, w domu przez nią zajmowanym nie było wówczas żadnego wolnego mieszkania. Oczekując pomyślniejszej pory, musiałam tymczasowo umieścić się gdzie indziej, mianowicie w domu Olchowicza, gdzie moja ciotka, wojewodzina Wodzińska, i moja kuzynka, księżna Lucjanowa Woroniecka, miały swoje miejskie *pied-à-terre*.

Sąsiedztwo było przyjemne, ale złudne. Te panie spędzały wiosnę, lato i jesień na wsi, a tylko parę zimowych miesięcy poświęcały Warszawie. Tym sposobem przez większą część roku byłam zupełnie osamotniona, i to w Jerozolimskiej Alei, na ówczas jeszcze tak odludnej, że nieraz wieczór z ganku mego słyszałam rozpaczliwe krzyki przechodniów, napastowanych przez nocnych rabusiów. Ta samotność mocno mi się dała we znaki. Co więcej, mieszkanie moje stało się wkrótce za ciasnym, bo z powodu zaszłej wtedy śmierci mego szwagra, musiałam zająć się potomstwem, pozostałym po mojej siostrze, brać do siebie to jedną, to drugą panienkę, i tak odtąd mi już wypadło nie od starszych być przygarnianą, ale samej młodszych przygarniać.

Dzięki Bogu, niedługo potrwał ów popas na Jerozolimskim pustkowiu. Już w 1871 roku znalazło się prześliczne i stosowne dla mnie mieszkanie w tym samym domu (naówczas Okęckiego), gdzie mieszkała od lat kilku moja przyjaciółka. Wprowadziłam się tam z radością, a zadowolenie moje zyskało jeszcze trwalsze podstawy, gdy w następnym roku dom ten przeszedł na własność samychże państwa Emanuelostwa Wolffów. Odtąd mogłam się już nie lękać żadnych zmian ani rugów.

Istotnie, oto już przeszło ćwierć wieku przeżyłam w tym uroczym siedlisku, które ma wszelkie zalety, bo znajduje się w środku miasta (na rogu ulic Królewskiej i Marszałkowskiej) — posiada cały szereg okien, wychodzących na ogród Saski (na który tym sposobem już z trzeciej strony spoglądam), a co najważniejsze, czyni mnie sąsiadką pani Eugonii tak bliską, że choć mieszkamy zupełnie osobno, możemy w każdej porze się widywać, i czy to z książką, czy z robótką, czy w rozmowie, czy w zadumaniu snuć coraz nowe ogniwa tej trzydziestoletniej przyjaźni, w którą życie wplotło już tyle cichych uśmiechów i tyle podniosłych smutków.

Pomnąc na odwieczne zdanie, że „dom jest wyłącznym królestwem kobiety”, i będąc z wrodzonej skłonności zabita d o m a t o r k ą, postanowiłam urządzić sobie mieszkanie tak ładnie i tak stosownie do moich upodobań, aby dom stał się dla mnie prawdziwie przyjemnym. Więc biblioteka dostała ściany i umeblowanie czerwone, szafy do książek ciemne a duże, bo już ich liczba niepomniernie wzrosła. Tu stało biurko po moim ojcu, sprzęt szacowny i niesłychanie wygodny, przy którym większą część życia przepędzam. Tu stoją szafki z pamiątkami po rodzicach, tu z rzeźbionej niszy świeci wizerunek Przyjaźni. Z tej komnaty usunęłam wszelakie złotości, nie ma też w niej ani obrazów, ani sztychów (których nie cierpię na ścianach), ale same są tylko rzeźby, posągi na konsolach, popiersia na szafach. Klasyczne ich profile pięknie odbijają od szkarłatu murów i surowy nieco wygląd tej siedziby rozjaśnia swoją promienną białością.

Tuż obok położony, nieduży pokój jadalny przystroiłam po maurytańsku, niby jeden z pieściwych alkierzyków Alhambry.

Salon tu znalazłam bardzo piękny, z gankiem i widokiem na ogród. Salonowi nie pożałowałam już złota, które zaświeciło z obić i zwierciadeł. Wierna wspomnieniom domowym, ubrałam go w meble i firanki z ó ł t e. U ścian zawisły też same Sybille, też same portrety rodzinne, co patrzyły na cały przebieg poniedziałków. A i tu miały na co patrzeć. Jeżeli jednak się tak stało, to pomimo mej woli, a nawet poniekąd przeciw mojej woli.

2. Gdy po stracie rodziców zostałam się sama jedna, towarzystwo warszawskie okazało mi niezmierną, nadspodziewaną życzliwość. Jeszcze nie wyszłam z pierwszych miesięcy mojej drugiej żałoby, a już się u mnie drzwi nie zamykały. Duchowni i świeccy, magnaci i literaci, matrony i panienki, dygnitarze i młodzież, wszyscy mię nawiedzali z oświadczeniami przychylności, z ofiarowaniem usług. Ach, i to jeszcze zawdzięczałam rodzicom, których szanowna pamięć i dobroczynne wpływy jednały teraz córce tę serdeczną wypłatę. I nie był to wybuch jednorazowy, ale nastrój ciągły coraz to gorętszy. Mijały tygodnie i miesiące, a dzwonek u drzwi nie odpoczywał. Czy w dzień czy wieczór, zawsze miałam dom pełen gości. Dla serca mego ten objaw ogólnej życzliwości był nadzwyczaj słodkim. Z innych względów jednakże był on i nieco uciążliwym, bo zabierając mi wszystkie niemal godziny, nie zostawiał mi czasu wolnego do pracy.

A do tej pracy już powoli wracałam. Ach, cóż było robić? Pan Bóg nie chciał mnie przepuścić za furtę doczesnego żywota. Przeciwnie, częściowo przywracał mi zdrowie. Były to znaki aż nadto wymowne. Jeśli jeszcze cierpiał mnie na ziemi, to zaprawdę nie po to, abym, założywszy ręce, wyczekiwała śmierci, ani po to, abym od rana do nocy przyjmowała gości. Jeśli mi żyć kazał, to była wskazówka, że mam jeszcze do spełnienia jakiś obowiązek. Jaki? – nietrudno było zgadnąć. Cała przeszłość mówiła mi najwyraźniej, że nie żaden inny, jak tylko ów jasny, prosto w oczy bijący, obowiązek zużytkowania danych mi zdolnośtek i wywiązywania się z długu zaciągniętego względem społeczeństwa.

Wszystko to sobie dobitnie powiedziałam i, jak więzień, który zamiast uwolnienia słyszy wyrok, skazujący go na nowe roboty, z ciężkim westchnieniem zabrałam się do pracy. Ale – jak wyżej natraçałam – do tej pracy potrzeba mi było dużo wolnego czasu, zwłaszcza godzin wieczornych, w których zawsze Muza jest mi najpowolniejszą.

Czyniąc zatem ofiarę z przyjemności dla obowiązku, postanowiłam sobie jeden tylko wieczór w tygodniu poświęcać przyjaciółom, a wszystkie inne spędzać samotnie z piórem i książkami. Taki był początek moich tygodniowych przyjęć.

Jak się pokazuje z tej szczerzej opowieści, nie myślałam wcale a zakładaniu żadnego s a l o - n u, przeciwnie, przez długi czas wypierałam się solennie podobnego zamiaru, aby nie przypuszczano, że chcę naśladować nieporównane poniedziałki lub dotwarzać jakiś ich „ciąg dalszy”. – Nie, tak hardą ni tak zarozumiałą nie byłam. Wskazując najbliższymi jeden dzień w

tygodniu, sądziłam, że będą to ciche skromniuchne „herbatki”, na które przyjdą dwie lub trzy osoby. Tymczasem nie upłynęło kilka tygodni, a już przychodziło ich po kilkadziesiąt. Jedni przyprawiali drugich. Wszystko wrzało życzliwością, przeciw której trudno było zgryźliwie się bronić. Znow artyści napełnili moje pokoje mnóstwem portretów i popiersi, znow moje szkatułki zakwieciły się odezwaniami łaskawych poetów i przeróżnych pisarzy.

Dla zajęcia tak licznych gości nie wystarczała rozmowa, która w dużym zgromadzeniu źle się nawiązuje. Poszukałam pomocy w muzyce i ta przez lat kilka rzeźbiła mój dom ożywiała. Szukałam jej skwapliwie i w kole piszących, ale tutaj mało spotkałam współdziałania. I nie tylko wówczas, ale i przez wszystkie następujące lata zawsze mi było ciężko namówić kogo z literatów albo literatek do czytania w moim salonie. Żądano wprawdzie, ażebym ja ich zastąpiła. Otóż wyznaję, że z początku czyniłam to niechętnie; we własnym domu wysuwać zawsze naprzód swoją własną osobę – to mi się zdawało rzeczą niewłaściwą. Wszelako, wiele ten robi, co musi. W braku innych czytań, musiałam uciec się do własnych i zaczęłam częstować gości owocami tej mojej pracy, która przez inne dni tygodnia po cichu dojrzewała.

Kierunek jej znalazł się już w duszy gotowy; był to ten sam, który na kilka lat pierwej poruszyłam w *Wandzie*, a którego drganie jeszcze nie ustało, bo jeszcze go do dna nie wyczerpałam. Zawierał on dwa pierwiastki: pogląd na tak zwaną dziś „kwestię kobiecą” i odwiecznie z nią związany pogląd na miłość w jej romansowym znaczeniu.

Tej ostatniej struny mogłam śmiało dotykać teraz, kiedy już weszłam w moją drugą młodość. Więc przyglądałam się sercom ciekawie, podpatrywałam ich grę wpółzakrytą. Z tych to studiów idealno-artystycznych powstały w ciągu lat kilku różne poemaciki i wiersze ulotne, jak np.: *Noc Świętojańska*, *Ty pójdziesz górę, ja pójde doliną*, *Objawienie się Muzy*, *Śpiew na dwa głosy*, *Wyznanie*, *Oczekiwanie*, *Pożegnanie*, *Biała róża*, *Oda do miłości*, *Powrót gołębia*, a nieco później i *Trzy róże*. Streszczeniem zaś poglądów na „kwestię kobiecą” był wiersz pt. *Stanowisko kobiety*.

Powstawały też i poezje osnute na innych wątkach, jak *Sen*, *Pieśń błękitna*, *Królestwo ideału*, *Symfonia życia*. Ta ostatnia została pięknie odegrana w Wielkim Teatrze w Warszawie na setną rocznicę urodzin Beethovena. W tych wszystkich utworach zauważyłam niezaprzeczony postęp. Miały one pewną miękkość zarysów, a zarazem i jędrność kształtów, na którą przed laty kilkunastu nie byłabym umiała się zdobyć. Pozbyłam się też na koniec owej zbyt obfitej, co zwykle wybuja na młodocianym gruncie; dawniej wpadałam ciągle w epizody, schodziłam co chwila na jakieś boczne ścieżki, co mnie kusily i odciągały od głównej prostej drogi, tak że po spokojnym odczytaniu całości musiałam odcinać tu sto, tam dwieście wierszy, które same z siebie były dobre, ale niezupełnie potrzebne, a zatem najzupełniej niepotrzebne. Teraz tym fałszywym pędem nie pozwalam się rozrastać i mój ogródek zaczął wyglądać porządnie.

Trudno jednak było na każdy tydzień upiec nową poezję, a moi goście wciąż się dopominali nowych i skarżyli się, że ich głodzę. Wśród jednego z takich ogłodzeń przypomniałam sobie rękopism *Wandy*, której nikt jeszcze nie znał i, powiązawszy niedokończone sceny, zaczęłam ją czytać. na moich zebraniach. Prawda, że *Wanda* kosztowała mnie dziesięć lat rozmyślenia i kilka lat wielkiej pracy, nigdy jednak nie przypuszczałam, aby mi się miała tak sownie opłacić. Co to za cudne były tygodnie owych czytań! Goście moi nie chcieli wierzyć, aby rzeczy równie „ogniste” mogły wyjść spod pióra owej niby c h ł o d n e j autorki. Przyjmowali je też ogniście, i wtedy to po raz pierwszy uczułam ów prąd elektryczny, który nawiązuje się niekiedy między mówcą a słuchaczami. Co tydzień on wzrastał, aż na koniec roztopił się w rzewnym rozczuleniu, gdy mi podano dary, mające upamiętnić te drogie dla mnie chwile. Było to wspaniałe a l b u m do fotografii, z wyrzniętymi na srebrze scenami z dramatu, pyszny ś w i e c z n i k, przy którego symbolicznych płomieniach odbywają się odtąd wszystkie moje czytania, i, wykonany przez Syrewicza, prześliczny p o s a ż e k *W a n d y*, który od tej chwili stale zdobi kolumnę mego

biurka. Na domiar uroków, urządzono w Wielkim Teatrze O b r a z y z ż y w y c h o s ó b, przedstawiające różne sceny z *Wandy*. Wchodziło do nich aż osiemdziesiąt osób, samych amatorów i amatek z naszego towarzystwa. Stroną artystyczną kierował bardzo biegle wielki mój przyjaciel, Aleksander Lesser, i wszystko udało się przedziwnie. Przedstawienie zostało powtórzone dwukrotnie, raz na cele dobroczynne, drugi raz na młodzież uniwersytecką. Ile tam doznałam chlubnych wrażeń, tego i nie śmiem opisywać.

Po tylu zachętach czułam się gwałtownie zobowiązana do stworzenia czegoś nowego i rzeczywiście przez jedną zimę 1872 roku napisałam cały dramat, *Narzeczoną z Ogrodzieńca*. Rzecz ta, osnuta na podaniu z dwunastego wieku, dawno mnie już nęciła i stała się dla *Polski w pieśni* szerokim nabytkiem. Czytanie jej zajęło kilka wieczorów, które wypadały coraz świetniej.

Jednym z najświetniejszych był wieczór urządzony dnia 1 marca 1873 r. Cały kraj wtedy obchodził czterechsetną rocznicę urodzin Kopernika i ja też chciałam uczcić go w moim domu, a przy tej sposobności mogłam uczcić i pamięć mojej matki, co było dla mnie równie chlubnym jak słodkim.

*Słoneczna Kantata* (którą na żądanie Poznańskiego Towarzystwa Nauk napisałam do „Albumu Jubileuszowego”) została wtedy u mnie wykonana z bardzo strojnym „uscenizowaniem”. W głębi salonu, wśród zagajenia, unosił się wysoko posąg Kopernika (dzieło Ludwika Kucharzewskiego), pod posągami na ukwieconych sztalugach jaśniał portret mojej matki, a poniżej leżała księga z polskim przekładem dzieł Kopernika, rozwarta na dedykacyjnej karcie. Wszystkie te przedmioty były połączone wieńcami z powoju.

W takim otoczeniu *Słoneczna Kantata* została wypowiedziana przez autorkę przy towarzyszeniu muzyki, z cicha wspierającej deklamację i przy grzmiących śpiewach, które odzywały się trzykrotnie, jako trzy chóry: R o d a k ó w, N a r o d ó w i Ś w i a t ó w.

Napływ gości był tego dnia ogromny, a nastrój bardzo uroczysty.

Jeszcze w tym samym 1873 roku przystąpiłam do nowej pracy. Drżącym sercem a zuchwałą ręką sięgnęłam do Bolesława Chrobrego i w przeciągu dwóch lat powstały *Rapsody o Chrobrym Królu*. Jest to poemat zupełnie odmienny od wszystkich innych, jakie napisałam, tkwiła mi bowiem zawsze w pamięci owa przestroga Mickiewicza, co zapytany: „Jak uniknąć m a n i e r y”? – odpowiedział: „Zmieniając często styl”.

Wprawdzie rada to tak trudna do spełnienia, jak ta, co mówi, że „aby złapać ptaszka, trzeba mu nasypać soli na ogonek”. Trudna jest, ale w doświadczeniu cudowna. Toteż całe życie pracowałam nad wyrobieniem sobie coraz nowych gatunków i podgatunków stylu.

Zapędziwszy się raz w owe odległe wieki, chętnie się w nich rozgościłam i zaraz po *Chrobrym*, w końcu 1875 roku, napisałam rzecz ściśle z nim związaną, scenę dramatyczną pt. *Biesiada u Ziemomyśla*. Tu po raz pierwszy w moim stylu zaświtała p r o s t o t a. Słuchacze natychmiast ją dostrzegli, a ja się z niej niewymownie ucieszyłam, bo to jest jedna z właściwości najcenniejszych a najtrudniejszych do zdobycia. I tak *Polsce w pieśni* coraz to nowe przyrastały gałązki.

3. Jednak w tychże samych latach snuł się i drugi szereg robót, zupełnie odmiennych. Zaczęłam je w roku 1874, na który czekałam z niejaką niecierpliwością, a to z następnego powodu:

Jeszcze w roku 1865, zaraz po powrocie z Czembaru, zaczęłam powieść pt. *Kassandra Fedele*. Miała ona opowiedzieć lasy słynnej włoskiej improwizatorki tego nazwiska, której żywot przesuwają się, jakby gwiazda, na dziejach Wenecji z XV wieku.

Podczas podróży po Włoszech rozlubowałam się w tym prześlicznym przedmiocie i zdawało mi się, że robota łatwo mi z nim pójdzie. Tymczasem, po napisaniu kilku luźnych rozdziałów, zatrzymałam się, przestraszona rojem nieprzewidzianych trudności, tak pod

względem studiów historycznych i obyczajowych, jak z powodu budowy, która mi się ciągle, niby domek z kart, rozlatywała. Moi rodzice osądzili, że do takiej pracy jestem jeszcze za młoda, nie dość znająca życie, i wszyscy troje postanowiliśmy zgodnie, że dopiero po skończonych czterdziestu latach życia wezmę się do pisania powieści.

Owóz w roku 1874 skończyłam właśnie owe lat czterdzieści. I znów mi się wydało, że już co teraz, to i przecie uporam się z tym odmiennym kształtem tworzenia i było mi do niego dosyć pilno, bo z dawna już nosiłam w duszy pewne plany, pewne idee, które tylko w tym kształcie mogłam wypowiedzieć, a które gwałtem prosiły się o życie. Na początek jednak, nie wybrałam owych w a ż n y c h planów; chciałam pierwej zaprawić się na podrzędnych. Od roku 1874 do końca 1877 napisałam dwie powieści: *Na rozdrożu* i *Krzyż nad otchłanią*. Obie kosztowały mnie dużo pracy, dużo borykania się z nowymi dla mnie trudnościami. Że je napisałam, to nic nie szkodzi; były one dla mnie twardą i owocną szkołą. Szkoda tylko, że je wydrukowałam. Trzeba mi było pomnić na przysłowie: „Pierwsze koty za płoty” i złożyć te rzeczy w Mauzoleum, obok *Piasta* i dawnego *Sobieskiego*.

Krytyka obesła się z nimi surowo i bardzo sprawiedliwie uczyniła. Mnie jednak jej sądy wcale nie odjęły fantazji. Że próbne balony poleciały złą stroną, to jeszcze nie wielkie nieszczęście. Dobra nauka, jak i którądy puszczać je na przyszłość. Toteż nie zaniechałam tego rodzaju pracy i zaraz w następnym roku 1878 napisałam *Zwierciadlaną zagadkę*. Tu już spostrzegłam, że balon idzie dobrą stroną. Ta powiastka przyniosła mi sto pociech autorskich.

Teraz, czując się panią położenia, mogłam już przystąpić do owej ważnej, marzonej roboty. Przystąpiłam też do niej natychmiast, jeszcze w końcu tegoż samego 1878 r. Zaczęłam *Branki w Jasyrze*.

Geneza tej pracy sięga bardzo daleko. Jeszcze przed jakimi dwudziestu pięciu laty, w dniach najpierwszej mojej młodości, gdy wczytywałam się w *Historię literatury* Wiszniewskiego, zastanowił mnie zamieszczony tam wyjątek z *Pamiętników Braciszka Benedykta, Polaka*, malujący z niesłychaną prawdą i oryginalnością państwo władców mongolskich. Nie mogłam zrozumieć, jakim sposobem nikt jeszcze nie wyzyskał tych obrazów, tak mocno i tak straszliwie związanych z dziejami naszego kraju, i wtedy już przeczuwałam, że tam leży cała żyła złota, jeszcze przez nikogo nie tknięta.

Pobył nad Wołgą, gdzie mogłam przyjrzeć się Tatarom, odżywił we mnie te wrażenia. Jednak obrazy mongolskie byłyby pewnie pozostały w tłumie czcnych, nieziszczalnych planów, gdyby nie inny bodziec, który mnie pchnął do pracy.

Właśnie pod owe czasy nastąpił w mojej duszy wypadek cichy, nikomu niewiadomy, a który dla mnie był niesłychanej doniosłości. Od lat dwudziestu, może i więcej, myśl moja toczyła głuche walki z przeróżnymi duchami Zwątpienia i Przeczenia. O walkach tych świat nie wiedział, bo prawie z nikim o nich nie mówiłam, a już co w moich pismach, to nigdy się z nimi nie zdradzałam, bo czułam, że jeśli człowiek ma prawo pasować się z własnym zwątpieniem, to nie ma prawa zaszczebiać go w innych duszach.

Może jako nagroda za tę wstrzeźliwość słowa, może jako dar, wymodlony na lepszym świecie przez mojego ojca, około roku 1875 nastąpiło w mojej duszy zupełne zwycięstwo wiary, i to nie tej wiary pacholecej, która za lada tknięciem przewraca się i kruszy, ale wiary wyrozumowanej, wypróbowanej, nieledwie niepokonalnej, gdyby godziło się przed śmiercią człowieka nazwać go w czymkolwiek niepokonalnym.

Jakimi drogami doszłam do zdobycia na powrót owego „raju utraconego”, to byłaby opowieść za długa i nieużyteczna, bo też same środki, co jednym duszom pomagają, dla drugich na nic się nie zdadzą. Cała ta moja straszna Odyseja wewnętrzna dałaby się streścić w takim czterowierszu:

Ból nas osłabia, dopóki dźga w miarę,  
Gdy ją przebierze, dodaje nam siły.

Wielkie cierpienia odjęły mi wiarę,  
A jeszcze większe mi ją przywróciły.

Trzeba też wiedzieć, że podobne zwycięstwo przynosi taką radość, takie upojenie, o jakich żadne inne zachwyty nie mogą dać pojęcia. I co najpiękniejsze, to że daje nie tylko radość, ale i niezwalczoną chęć podzielenia się tym szczęściem z innymi duszami. Człowiek chciałby z dachów ogłaszać swoje wielkie odkrycie, chciałby na placach otrąbywać, że to, co poddawał wątpieniu lub przeczeniu, to jednak jest! Naprawdę jest! Niezawodnie jest!

Taką to chęcią powodowana, chciałam ludziom wypowiedzieć moje ostateczne przekonania, a wypowiedzieć nie wierszami, które wielu odstrasza, ale pod kształtem przystępnym i wabiącym. Z tego to powodu rwałam się do pisania powieści, z tej to przyczyny nie dałam się odstręczyć ich niewdzięcznymi początkami, aż przyszła chwila spełnienia moich marzeń.

Ale do utworzenia zupełnego gmachu nie dosyć było mongolskich podwalin i chrześcijańskiej kopuły, brakowało jeszcze samych cegieł bajki, a w bajce jakiegoś uczucia, które by jak cement spoiło całą budowę. Otóż nie! Niczego nie brakowało.

Dawno już dziwiłam się i gniewałam, czemu pisarze przeznaczają w swoich utworach tak przesadnie szerokie miejsce dla ziemskiej Miłości, a po macoszemu się obchodzą z jej niebiańską siostrą Przyjaźnią, która jednak w życiu tyle znaczy, nierównie więcej niż w książkach?

Jest wprawdzie w Szyllerze kilka boskich kartek, poświęconych owej niebiance, są i w dziełach Bulwera mistrzowskie jej wizerunki, ale dla mnie tego wszystkiego było jeszcze za mało, i od lat młodocianych obiecywałam sobie, że napiszę w tym przedmiocie rzecz wyczerpującą. Pod naporem tej chęci, już w *Narzeczonej z Ogrodzieńca* przedstawiłam przyjaźń dwóch rycerzy, ale te postacie, jako podrzędne, nie mogły mnie zadowolnić, zresztą była to przyjaźń męska, mnie zaś chodziło głównie o przyjaźń kobiecą, która posiada pewne cechy odrębne, i słodczye sobie tylko właściwe.

Tutaj, w obrazach niewoli tatarskiej, której najliczniejszymi ofiarami zostawały kobiety, otworzyło mi się na koniec ogromne pole do pokazania takiej Przyjaźni, w całej potędze jej poświęceń, uroków i świętości.

Toteż myślą się grubo ci krytycy, którzy w *Brankach* szukają g ł ó w n e g o b o h a t e r a . Nie ma go tam wcale. Jest wprawdzie p a r a pierwszorzędna, ale to nie b o h a t e r i b o h a t e r k a , tylko d w i e b o h a t e r k i , wkoło których dopiero ustawiają się różne postacie męskie, wszystkie drugorzędne.

Pisanie *Branek* poszło mi posuwicie; zużyłam na nie tylko dwie zimy, co jest bardzo mało, zwłaszcza gdy się wspomni, że potrzebne do nich a żmudne studia robiłam przeważnie w czasie samego pisania. Rzecz cała była już tak przemyślana i odczuta, że uląła się łatwo. Przy tym trzeba jeszcze pamiętać, że nałożyłam na siebie pewien dobrowolny przymus, który się przyczynił do szybszej roboty, miałam bowiem ledwie kilka pierwszych rozdziałów gotowych, kiedy już zaczęłam *Branki* czytać moim gościom, co sprawiło, że dalej musiałam z czwartku na czwartek co sił się dopędząć. Słodkie wspomnienie zostało mi z owych wieczorów. Goście słuchali mnie z łaskawą myślą i gorącym sercem, a w końcu obdarzyli mnie zbiorową pamiątką, tą cudną *Z ł o t ą R ó ż ą*, która wespół z posążkiem Wandy zdobi moje biurko, i ciągle kwitnie mi w oczach jak wesoła wróżba.

Jest jednakże w wydaniu *Branek* pewna niedokładność, która mi mocno dolega. Dzieło napisane pod natchnieniem Przyjaźni, należało się z prawa mojej przyjaciółce. Toteż chciałam przypisać jej ten utwór i już wytrysła mi spod pióra „dedykacja” wierszem, której nawet byłam dość rada. Cóż, kiedy druga strona położyła swe przemocne *veto*... Moja przyjaciółka przyjęła rękopism dedykacyjny z rozczuleniem, schowała go na pamiątkę, ale —powodowana tą skromnością, która u niej dochodzi do zakonnej pokory, nie pozwoliła na jego wydrukowanie w książce. I tak, *Branki* ukazały się bez „dedykacji”... A szkoda! Żal mi tych

kilku strofek wyjętych spod serca, które brzmiały tymi słowy:

W zacisznej komnacie, gdzie leżą me księgi,  
Przy stole, unoszącym kałamarz i pióro,  
Kazałam wykuć wnękę. Muszlowe jej kręgi  
Pieściwie przyoblekłam złotem i purpurą,  
I zarys drogich liców zwiesiłam u ściany.  
Godna czci, Eugenio! Twój to wizerunek.  
Tak, czy dumam, czy piszę, obraz ukochany  
Tkwi nade mną, jak srebrny gwiazdy pocałunek.

Co rano go w samotnej pozdrawiam świątyńce.  
Jest i czarka na kwiaty u jego podnóża.  
Nie ogrodnik tam wonne przynosi gościńce,  
Kwiatek w niej tylko jeden: Jerychońska róża.  
Dziwna róża! Pod rąbkiem surowym ukryta.  
Centyfolia w jaskrawe stroi się przynęty,  
Lecz jutro więdnie. Tamta bez końca odkwita.  
Prawdziwy kwiat przyjaźni, wytrwały i święty.

W ten to kwiat niewiędnący, w ten to wizerunek  
Wpatrzona, malowałam tło mojej powieści.  
Barwy jej z trzynastego stulecia. Rysunek  
Ze wszystkich wieków: przykład przyjaźni niewieściej.  
Czyż imię w gotyckim jej szczycie wyżłobię,  
Jeśli nie tej, najdroższej, co mi jest i będzie  
Przyjaciółką jedyną? Poświęcam ją Tobie.  
Twym imieniem, koronna, niech śpiewa je wszędzie.

Nie lękaj się, o skromna! aby przez odbicie,  
Z tej księgi nasze własne dzieje podpatrzono.  
Tłumom je rzucać? Nigdy! Wszak niewieście życie  
Powinno stać jak arka, za wieczną zasłoną.  
Ciebie malować w księdze? O to się nie kuszę.  
Kto miłuje, ten widzi w bezchmurnym przezroczu  
Skarby, przepelniające miłowaną duszę,  
Lecz nie zdoła w nie cudzych wtajemniczyć oczu.

Tak w górach, kiedy słońca zachód płomienisty  
Lodowce poprzestrzela żyłami z opalu,  
Po kaskadach roztrzęsione drżące ametysty,  
I w obłokach wyciosa pałace z koralu,  
Malarz odrzuca pędzel, skarży się na czary:  
„Jakże oddam ich blaski? Farby mam za blade.  
A chociażbym i oddał, nikt mi nie da wiary.”  
Więc nie lękaj się, skromna! I ja pędzel kładę.

Nie przejrzysz się w tych kartach, jako w szybie wody.  
Elżbieta ni Ludmiła, duszą ni obliczem,  
Nie są do nas podobne. Krwawe ich przygody



Z osnową naszych losów nie wiążą się niczem.  
Lecz serca? Ach, tu znajdziesz zwierciadło. Zwróć oczy  
W pęknięte, rubinowe serca ich rozłamy,  
Dojrzysz rys, co je z nami na zawsze jednoczy:  
One tak się kochały, jak my się kochamy.

4. Wypowiedziawszy się w *Brankach*, porzuciłam kształt powieściowy, i co prędzej wróciłam do *Polski w pieśni*. Ach, co prędzej, bo lata uciekały, powiew jesienny już niekiedy mnie dolatywał, a z moich wiosennych zamiarów tak mało jeszcze się spełniło! Poczucie tej ucieczki czasu, tej marności ludzkich przedsięwzięć objawia się w tęsknej nucie niektórych ówczesnych wierszyków, jak np. *Nieśmiertelnik*, *Dwa pokolenia*, a zwłaszcza *Pieśń wieczorna*.

Gdybyż przynajmniej do pary z *Wandą* mogła była jeszcze stanąć *Jadwiga*, ta *Jadwiga* najwcześniej przeze mnie próbowana, tak rzewnie i gorąco ukochana!

Zatem, wszystko na bok usunęłam, nawet poprawienie i przepisanie *Branek* i nie mieszkając zasiadłam do *Jadwigi*. Sądziłam, że w jaki rok z niej wybrnę. Gdzie tam! Napisałam tylko część pierwszą. Wprawdzie poszła mi dosyć gładko, włożyłam w nią dużo moich uczuć i przekonań i gdybym była mogła skończyć ją za jednym zamachem, wielką miałabym stąd uciechę, cóż, kiedy jak na przekorę, musiałam zawiesić tę pracę, a to dla bardzo licznych i różnorodnych powodów.

Nastaly dla mnie lata niezmiernie ruchliwe.

Już w r. 1880 zgodziłam się na wygłoszenie odczytu i skorzystałam z tej sposobności, ażeby wedle moich sił, naprawić pewną niesprawiedliwość, co mnie już dawno bolała, mianowicie, aby uczcić Klementynę Hoffmanową, tę znakomitą naszą przodowniczkę, której pamięć jest w nowszych czasach za mało uznana i opacznymi sądami skrzywiona. Sam odczyt zamknął się z konieczności w niewielkich rozmiarach, ale wymagał długich i sumiennych studiów.

W roku 1881 w moim domu był obchodzony jubileusz A. E. Odyńca. Wkrótce potem jeździłam do Krakowa, gdzie zaproszono mnie jako jedną z gospodyń balu Mickiewiczowskiego. Tam podjęłam się zbierania składek na pomnik Mickiewicza w Krakowie. W r. 1882 jeździłam znów do Lwowa, zaproszona tam dla odczytów, a w jesieni widziałam w Częstochowie pięćsetletni jubileusz, z którego zrodził się zaraz poemat: *Na Jasnej Górze*.

W r. 1883 nowe zaprosiny do Poznania i nowe tam odczyty.

Wszystkie te wycieczki, uroczystości, składki pochłaniały mi dużo czasu, wymagały bardzo wiele zabiegów i dawały pochop do pisania różnych rzeczy ubocznych. Prawda, że też niesłychanie uświetniały mi salon. Nigdy jeszcze nie miewałam równie tłumnych czwartków, z których nieraz przyszło mi zapisywać już nie tylko po sto i dwieście, ale czasem i do trzystu osób.

Najgłówniejszym jednak powodem zawieszenia *Jadwigi* było zbliżanie się roku 1883, tej dwóchsetnej rocznicy zwycięstwa pod Wiedniem.

5. Już prawie od lat trzydziestu ciągle zbierałam i wyławiałam wszystko, cokolwiek się tyczyło wyprawy pod Wiedeń: książki, ryciny, wzmianki gazeciarskie. Przewidywałam, że dopiero na dwóchsetną rocznicę zjawi się największe bogactwo materiałów, i przewidywanie to nie omyliło. Już na rok pierwszej zaczął się sypać, tak u nas jak w Niemczech, cały nawał ciekawych ksiąg, map i albumów.

Teraz już nie miałam na co czekać. Nie chciałam też, aby rok tak wielki przeszedł bez uczczenia w moim domu. Wyjęłam więc z Mauzoleum zaklęty rękopism i zaczęłam się w nim

rozglądać. Jeżeli przed ćwierćwiekiem był niegodzien druku, to tym niegodniejszy był dzisiaj, po tyloletnich postępach. Jednak niektóre ustępy mogły być zużytkowane, a co plan ogólny, to przedstawiał się bardzo dobrze. Postanowiłam więc zachować plan dawny, tylko rozszerzony przez nabytek nowych wiadomości, po czym wzięłam się już nie żartem do pisania różnych oderwanych części *Sobieskiego*, z których kilka czytałam na zebraniach 1883 roku.

Z tych robót próbnych wyniosłam niewesołe przeświadczenie. Póki pisałam obrazy nadziemskie, a nawet niektóre wschodnie, rzecz szła wcale dobrze. Ale ilekroć przyszło mi malować sceny rycerskie, staropolskie, a zwłaszcza ówczesne rozmowy, ani sposób! Nie wiedziałam, jak ci ludzie mają się ruszać, ani jak mają gadać. A raczej, nie! Wiedziałam, ale nie umiałam tych rzeczy wypowiedzieć. Brakowało mi właściwego t o n u. Czułam doskonale, jak on powinien brzmieć, ale nie mogłam go wygrać .na moich skrzypeczkach, które wydawały ciągle tony albo za niskie, albo za wysokie.

Był to ten sam brak, co stanowił zawsze największą dla mnie trudność i wywoływał w moim autorskim sumieniu wieczne niezadowolenie, był to brak równowagi między dwoma biegunami twórczości, między i d e a l i z m e m a r e a l i z m e m, z których pierwszy zawsze u mnie zanadto wybujał, zawsze rwał mię do góry, jak balon nieopatrzony dostatecznym balastem i nie chciał iść posłusznie we wskazanej strefie.

Wybierając między dwojgiem złego, zaprawdę dla poety lepszą jest przewaga idealizmu niżeli realizmu, najlepszą jednak jest niezaprzeczenie r ó w n o w a g a, rzecz nadzwyczajnie rzadka, nawet u największych.

Z tej to przyczyny dotąd cofałam się zazwyczaj w czasy dawne, zamierzchłe, gdzie realizm jest mniej nieodzowny, gdzie trudniej s p r a w d z i ć poetę. Ale ile razy chciałam dotknąć czasów nowszych (już licząc od szesnastego wieku), zawsze spostrzegałam z przerażeniem, że moi bohaterowie nie są dziećmi swojego czasu i mówią kosmopolitycznie.

Jednak nie traciłam nadziei. Doświadczenie mi pokazało, że przy ciągłej pracy zdobyłam już wiele tonów, długo niepochwytnych dla mojego pióra. Oto i w bieżących wtedy czasach powstawały różne utwory, jak: *Głos Izajaszowy*, *Pod niebieską chorągwią*, *Pieśń na cześć Wiary*, których nastrój był zupełnie dla mnie nowy, a forma rznięta pad kątami dawniej mi nieznanymi. Czemużbym więc nie miała kiedyś natrafić i na tamten ton zaczarowany?

Tak. Ale póki nie natrafiłam, póty nie mogłam porządnie pisać *Sobieskiego*. Znów go więc odsunęłam na stronę, a tymczasem widząc, że moje zdrowie coraz mocniej upada, powiedziałam sobie z westchnieniem:

— Jeśli nie mam napisać tego wielkiego dzieła, niechże przynajmniej te rzeczy, co już są napisane, zostaną po mnie w skończonym i wykończonym kształcie.

To powiedziawszy, zabrałam się do rachunków z przeszłością.

6. A naprzód zaczęłam gromadzić i gatunkować wszystkie mniejsze utwory z całego mego życia i uczyniwszy między nimi wybór, starałam się doprowadzić te rzeczy wybrane do jednolitego ducha i jednolitego wyrobienia. Praca ta zajęła mi lat kilka i była może najcięższą ze wszystkich, jakie podjęłam kiedykolwiek. Ale jakże ją błogosławię! Była to niby „tresura”, w której konik słowa stał mi się tak powolnym i zwrotnym, jakim nigdy przedtem nie był.

W tychże czasach skończyłam ostatecznie i *Wandę*, która też wyszła w książce w 1887 r.

Tegoż roku w moim domu obchodzono jubileusz Adama Pługa, którego zasługom i wielkiemu sercu należało się od nas wszystkich gorące uznanie. Była to ostatnia uroczystość, na którą mogłam wystąpić w ozdobnym stroju. Później, coraz gorszy stan zdrowia nie pozwolił mi już nigdy na wdzianie szat świątecznych.

Po wyjściu *Wandy* poprawiłam i przepisałam *Branki*, które ukazały się w tomach w 1889 r. i przyniosły mi wiele duchowych słodyczy.

7. W tymże roku 1889 zaszedł wielki dla mnie wypadek: choroba, dręcząca mnie od lat wielu, a której doktorzy dotąd nie mogli zrozumieć, wybuchnęła z niezmierną gwałtownością i okazała się nieuleczalnym cierpieniem sercowym.

Odkrycie to przejęło mnie bezgraniczną radością. A więc było to na koniec pierwsze zadzwonienie na ów odjazd, za którym tęskniłam już od lat przeszło dwudziestu, na odjazd do moich dwóch ojców — niebieskiego i ziemskiego!

Przedwczesna radość...

Między dzwonekami tamtego świata dłuższe są przerwy, niż między ludzkimi. Bieg choroby okazał się bardzo bolesnym, ale bardzo powolnym, zaczem przekonałam się, że jeszcze nie wolno mi próżnować i zaczęłam wracać do pracy, ile tylko razy cierpienia na nią pozwalały.

Szukałam ciągle owej niepochwytej r ó w n o w a g i. W tym celu czyniłam najróżnorodniejsze studia, pisywałam całe powiastki (jak np. *Panienkę z okienka*), jedynie dla wprawienia się w pewne rodzaje stylu, wczytywałam się w pisarzy różnych wieków, ciągle zaś i nieodmiennie wracałam do *Pana Tadeusza*, w którym brodziłam po kilka razy rocznie, i to nie dla rozkoszy, ale dla podchwycenia zamkniętych w nim pisarskich tajemnic.

Aż na koniec...

Ach, nie próżno *Pismo święte* mówi: „Szukajcie a znajdziecie”.

8. Przyszedł taki dzień, przyszła taka godzina, w której mój smyczek trafił na ów ton szukany!

Było to w r. 1892, okrążyło we czterdzieści lat po rozpoczęciu mego pisarskiego zawodu. Od tej chwili, i dopiero od tej chwili uczułam się umysłowo d o j r z a ł ą. Zwycięstwo to ucieszyło mię niewymownie. Teraz mogę już wygrywać, co mi się spodoba i jak mi się spodoba, na wszystkich strunach mojego narzędzia. (Nie mówię: na wszystkich strunach poezji, bo takie twierdzenie byłoby równie śmieszne, jak pyszne, ale na wszystkich strunach m o j e g o narzędzia.)

Przez lat czterdzieści pisanie było dla mnie męką i postrachem. Brałam się do niego tylko z obowiązku. Teraz, od lat pięciu jest mi bardzo miłym. Nie powiem, aby miało być łatwym, bynajmniej! Im człowiek lepiej co umie, tym więcej od siebie wymaga. Nie jest więc łatwiejsze, ale przyjemniejsze, bo mi już daje owoce takiego smaku i gatunku, jakiego sobie życzę, podczas kiedy pierwej wychodziło mi często co innego, niż chciałam, i zawsze trąciło goryczką niedojrzałości.

Szkoda tylko, że ta dojrzałość przyszła tak późno, w chwili kiedy miałam już lat pięćdziesiąt osiem i kiedy ciało już zaczęło na dobre wypowiadać służbę! Nowy to dowód, że człowiek składa się z dwóch istot, nierównomiernych sobie nie tylko pierwiastkami, lecz i wiekiem, Oto ze mnie jest jeden przykład więcej, że istota materialna już się starzeje i już w pył się kruszy, podczas kiedy istota duchowa dochodzi dopiero do swej pełnoletności.

Z chwilą tej pełnoletności umysłowej, to jest w 1892 roku, zabrałam się natychmiast do *Sobieskiego*, a zabrałam się, jak słusznie mówi krakowski recenzent, „z całej duszy, z całego serca i ze wszystkich sił moich”. Odtąd idzie on mi już ciągle, bardzo pracowicie, ale i bardzo żwawo. Obiecywałam też sobie wielokrotnie, że już nic mię od niego nie oderwie. Ale czas pokazał raz jeszcze, jak znikomymi są ludzkie postanowienia.

Rok obecny (1897) skusił mię do innej pracy, i to jeszcze takiej, której się sto razy odrzekałam. A pokusa przyszła z następnej okoliczności.

9. Najlepsi moi przyjaciele upatrzyli sobie rok bieżący, 1897, aby w nim obchodzić 45-ciolecie mojej pracy piśmiennej i już w końcu roku przeszłego ze wszech stron zaczęto żądać odemnie materiałów do rozmaitych zyciorysów i studiów. Żądanie było równie chlubne, jak

uczciwe, boć lepiej postarać się o źródła prawdy, niż pisać na lekko i na domysł. A było też i różnorodne. Jedni chcieli poznać salon moich rodziców, drudzy systemat mego wychowania, innych zaciekał rozwój moich prac literackich i moich stosunków towarzyskich.

Ażeby wszystkich zadowolić, musiałam opisywać to i owo i z tych różnych obrazków złożył się ten oto *Pamiętnik*, bardzo wprawdzie jeszcze niepełny, ale w każdym razie użyteczny, bo prostujący wiele fałszów, ratujący wiele rzeczy od zapomnienia, słowem, dobry dla mnie nabytek, a który nigdy by nie istniał, gdyby nie ów przepyszny i rzewny Jubileusz.

10. Jak on się odbył, to nie moja rzecz opisywać. Powiem tylko, że był dla mnie zaszczytny aż do upokorzenia, bo społeczeństwo nasze, kierując się zasadą samego Pana Boga, osądziło mnie, nie według tego co zrobiłam, ale według tego, co pragnęłam zrobić, i wynagrodziło mnie tak, jak gdybym była całą *Polskę w pieśni* najpiękniej wyśpiewała. Ciężar tej dobroci mnie przygnębia.

O, jakże chciałabym choć w części wywiązać się z tak ogromnego długu!

O napisaniu całej *Polski w pieśni* nawet myśleć nie mogę... Żaden żywot ludzki nie starczy na podobne przedsięwzięcie. Ale żebyż można choć *Sobieskiego* skończyć! Choć taki upominek w testamencie przekazać! Oplakany stan zdrowia czyni wątpliwym i ten ostatni zamiar...

A jednak, po co się troskać? Trzeba dalej pisać, a resztę zostawić Panu Bogu. Jeśli moja praca jest Mu do czegokolwiek potrzebną, to pozwoli na jej ukończenie — a jeśli nie jest Mu potrzebną, to mała jej szkoda.

## ANEKS

## HIPOLIT SKIMBOROWICZ

### *Magdalena Łuszczewska i jej salon*

Ona by chciała, słońcem na niebie,  
Przez światło budzić ku życiu;  
Ciepłem swym wszystko ogrzać w krąg siebie,  
Wypatrzeć talent w ukryciu!

A.E. O d y n i e c, T. 1, str. 148 Poezji

[...] Magdalena, przez rodzinę i całą Warszawę nazywana *N i n a*, urodziła się w Mediolanie, 20 marca 1806 roku, z ojca Edwarda Żółtowskiego, generała b. w. p. Starannie wychowana, pełna wdzięku i dowcipu, słynąca z piękności, łatwo pozyskała serce zgasłego przed dwoma laty Wacława Łuszczewskiego, syna b. Ministra Spraw Wewnętrznych z czasów Księstwa Warszawskiego. Młodzieniec chlubnie ukończywszy nauki uniwersyteckie, połączony związkiem małżeńskim dn. 14 stycznia 1829 r., osiadł z początku na wsi, w gnieździe rodzinnym Strugi, a następnie w Warszawie, jako urzędnik w b. Ministerium Spraw Wewnętrznych, któremu ojciec niegdyś przewodniczył. Równi w latach, jedynie miłością połączeni, młodzi małżonkowie wiedli błogi żywot wśród pokoju domowego i cichej pracy, pod okiem letniego już wojaka, ciesząc się dwiema córeczkami, których pierwszym wychowaniem sama zajmowała się matka.

Obie te latorośle, gorącym serca rodzicielskiego ogrzane, rozkwitły potem we wzniosłej poezji koronie. I nie mógł być innym wpływ podobnej matki. Kazimiera i Jadwiga, pod mianami przybranymi Jolanty i Deotymy, znane są z dzieł drukowanych. Zbytecznym zdaje się tu dodawać, że utwory Deotymy nie są wytłoczone zwykłymi, czarnymi, lub choćby złotolitymi czcionkami drukarskimi, lecz odbite jakby wysadzanych diamentami wyobraźni, świetnymi perłami myśli lub skrzącymi porównaniami i pełnymi blasku z najdroższych kamieni pryzmami, łamiącymi światło tęczne barwy, niby w koronach Salomona i Dawida. Cechy te, za jaskrawo tu może wypisane, widne są w stylu biblijnym, nieco mistycznym, nader oryginalnie wszakże wyrobionym. Ten nastrój przejęła Deotyma od zgasłej matki, najczulej przez nią ukochanej, która w pięknych, potocznych i dobranych kwiecisto wyrażeniach, zawsze używała porównań wybitnych i metafor wzniosłych, niekiedy jakby ze Wschodu przeszczepionych.

Taki kierunek ducha *N. Łuszczewskiej* początek wziął po części z dzieł czytanych, po części zaś wyrobił się tak z tła właściwego jej duszy, jak i z usposobień osób, otaczających ją w chwilach, kiedy pierwsze na świecie szerszym zaczęła stawiać kroki, wychodząc powoli z domowego zacisza.

Najpierwsze kółko, jakie otaczało nieboszczkę w jej nierozgłośnym jeszcze wtedy salonie, mieszczącym się w b. pałacu Sapieżyńskim przy Nowym Świecie, składali nadzwyczaj religijni ludzie lub osoby wpadające niekiedy w zachwyty mistyczny. Wczytywano się tu po kolei w dzieła św. Teresy, De Maistra, Saint-Martina, Swedenborga itp. Umysł, pragnący wiedzy, wszystko chciał zbadać. Dodatnie i ujemne duchowości strony schodziły tu się i ścięrały ze sobą.

Oprócz żyjących, których pomijamy, uczęszczali do zgasłej już gospodyni domu: Stanisław hr. Grabowski, były minister oświecenia publicznego i spraw religijnych, Rozalia z książąt

Lubomirskich hr. Rzewuska z córką (późniejszą księżną Teano); ksiązę Kozłowski; Rzeczywisty Radca Stanu Szaniawski, niegdyś dyrektor wydziału oświecenia; Deszert; Ignacy Badeni, dyrektor wydziału K. R. S. W. i D.; księża: Dekert (późniejszy biskup), Pr. i kan. Mętlewicz itd.

Wszakże ów promyk, jakby błędny, niebieskawy ognik cmentarny, jak przelotny płomyczek lekki, błysnął i zgasł. Wkrótce salon N. Łuszczewskiej nowym, daleko mocniejszym i bardziej ożywym zajaśniał światłem. Niby magiczne zwierciadło wklęsłe, skupił on w dobrze i umiejętnie nastawionym ognisku swoim wszelkie promienie najróżnorodniejsze nie tylko światła nauk i talentów ciepłaka zasług i wartości wewnętrznych — ale zarazem błyski słynnych piękności, świetność rodu, jaskrawość znamienitości urzędniczych, a nawet jak najskromniejsze odcienia wielu cnót domowych, które, często masom nieznane, ze swej ciszy ukrytej występowały na widownię tego, rzeczywiście wielkiego, bo wszechstronnego i przez długi czas jedynego uczonego świata warszawskiego. Wszyscy bowiem tam bywali, którzy do myślącej należeli klasy; wszystko, cokolwiek zasłynęło, było li to swoje czy obce, wielkie czy nieco mniejsze, znalazło się zawsze w gościnnym państwie Łuszczewskich progach.

Tu niemal zrodziła się najpierwsza myśl założenia „Biblioteki Warszawskiej”, której ciąglem i jak najczynniejszym aż do samego zgonu współpracownikiem był Wacław Łuszczewski. Tu młodzież, w braku wyższej uczelni, mogła zaznajomić się z dziełami najnowszymi, które bywały rozbierane bądź w ogólnych rzutach rozmowy, bądź w rozprawach ze specjalistami i częstokroć wielu do domu użyczane. Poczynający artysta spotykał się tu z mistrzami i mógł nieraz od nich rad w wątpliwościach swych zasięgnąć lub nad wykonaniem ich arcydzieł się unosić.

W gronie zwolenników poezji i sztuk pięknych, w otoczeniu głębokich myślicieli, wzrastała Deotyma w warunkach klimatu najbardziej odpowiedniego gruntowi jej usposobień, jakby edeńskie drzewko, dla którego poezja zawsze najpogodniejszym jaśniała słońcem, muzyka zaś i w ogóle sztuki piękne stały się niezbędną atmosferą, którą improwizatorka oddychając, czerpała z niej zasoby życia i rozwoju umysłowego. Pod takim niebem wzniosły rodziców kierunek, ogniem domowym rozniecał w sercu Westalki płomień cnót rodzinnych i towarzyskich.

Trudno dziś zbadać, co spowodowało N. Łuszczewską do nadania innego, niż był w zaczątkach, kierunku salonowi swemu? Czy myśl o podrastających córkach, które obie miały już od dzieciństwa poczucie talentu poetycznego? — czyli raczej chęć zjednoczenia w pewną całość umysłowości naszej rozproszonych żywiołów? — Zdaje się, że i jedno i drugie; — a może zatrzymanie się w sam czas właściwy na spiralnej drodze badania niezbadanych przedmiotów? — Bądź co bądź, wielka należy się ś. p. zmarłej zasługa!

Nie chcąc tu stanowczego, własnego tylko wypowiadać zdania, aby nas nie posądzano o stronność z tego powodu, że przez bardzo długie lata bywaliśmy po przyjacielsku przyjmowali w tym domu, użyjemy do poparcia w tym właśnie względzie słów naszych, powagi prasy.

Jedno z pism, znane z ostrych zawsze krytyk na Warszawę, jeszcze w lutym 1853 roku tak się wyraża o salonie wspomnianym:

„Pani Ł. w każdym umie znaleźć jakiś przymiot wybitny, chociażby dobroć serca; egzaltowana z usposobienia i ze sposobu wyrobienia się w świecie, pobłażająca z natury, każdemu prawie utworowi daje poklask, a pochwały jej tak są szczere, tak zdają się płynąć z przekonania, z tej dobrej a poczciwej chęci wywyższenia jakiej jednostki mającej się dodać do ograniczonej liczby ojczytych talentów, że nie można jej tego wziąć za złe, nie można jej o nieszczerłość posądzać.

Salon ten istnieje od lat kilkunastu i wdrożył się tak już w byt Warszawy, że stanowi prawie część jej życia; — tam wszystko, co się u nas odznacza, czy to talentem, czy nauką, czy to połączeniem w świecie, zyskuje prawo obywatelstwa; — tam dają się słyszeć znakomici

artyści, przybywający odwiedzać Warszawę; — tam literatura i sztuki piękne stanowią tło, a konwencja salonowa ramy tylko do obrazu. Tam każdy znajdzie to, czego szuka: zajęcie, zabawę, nawet naukę...”

Dosłownie przytaczając te wyrazy, nie będziemy przywozili zdań innych organów prasy, bo wszystkie bez wyjątku dzienniki warszawskie wielką zawsze oddawały sprawiedliwość salonowi N. Łuszczewskiej, występującym artystom oraz improwizacjom wieszczki.

Te ostatnie bywały każdego odwiedzającego dom państwa Łuszczewskich pragnieniem najgorętszym i najwznioślejszą wszystkich niemal zebrań ozdobą. Koniecznie tu dodać musimy, że nie tylko sam zacny gospodarz, ale najprzód zmarła Jolanta, a po jej zamążpójściu, młodziutka wtedy Deotyma, rok za rokiem, coraz więcej pomagała matce w prowadzeniu salonu i utrzymywaniu zebrań na szczycie pewnej świetności. Jeżeli N. Łuszczewska była duszą całego towarzystwa, to Deotymie słusznie należałoby się miano serca salonu. Około niej bowiem całe krążyło zgromadzenie; ona każdemu artyście dodawała bodźca; ona z każdym autorem o jego rozmawiała utworze; ona każdego stosownym uczciła wierszem, i przy wielu muzykach, znakomitszych zwłaszcza kompozytorów, wygłaszała odpowiednie poezje harmonią natchnione. Już zginęły, nie bezpowrotnie może, podobne wieczory!

Nic dziwnego, że pisząc życiorys ś.p. zmarłej Łuszczewskiej, musimy niejednokrotnie wspominać i o wieszczce naszej, bo najpożyteczniejszą życia jej pracą było wychowanie Deotymy: takiej córki z taką matką rozdzielić by nam tu niepodobna.

To, cośmy dotąd powiedzieli, nie stanowi jeszcze całkowitego określenia salonu, o którym mowa. Chcąc wszystko należycie opisać, można by spory tom utworzyć, składający zarówno najpiękniejszy dla zmarłej pomnik, jak i najciekawszy dla żyjących pamiętnik. W takim dopiero obrazie cała by odzwierciedliła się ze trzydziestu lat Warszawa. Na owym tle charakterystycznie odznaczałyby się wszelkie znakomitości krajowe i znaczna część zagranicznych. — Skracając jednak wielką księgę w treść stosowną do ram szczupłych życiorysu, musimy tu choć kilka nieco wybitniejszych przypomnieć szczegółów, zaledwie w samych oderwanych zarysach.

Działo się to w czerwcu 1845 r.

Zjazd w Warszawie liczny, bo to wyścigi, sprzedaż wełny, interesa Świętojańskie itp. Wchodzimy do salonu, którego na pierwszy rzut oka nie poznajemy; zamienił się bowiem w gaj z drzewek i kwiatów. Z dywanów zielonych wzniesiono jakby pagórek, u którego szczytu błyszczą obraz olejny wystawiający znaną Dolinę Kościeliską. Młodziutkie dziecię, w stroju Krakowianki, z długimi kosami blond włosów, przeplatanych karmazynowymi wstążkami, jak najpłynniej deklamuje stosowny wierszyk. Charakter wieśniaczki malutka córeczka gospodarstwa zachowuje przez cały wieczór. Odbywa się potem na obraz loteria, z której hojny pieniądz służy autorowi Kościeliska na podróż za granicę dla dalszego kształcenia się i doskonalenia w malarstwie. Tym artystą był nie żyjący już Łęski.

[...] Pomijamy kilkanaście następnych, mniejszych, kilkudziesięciosobowych zebrań z wystąpieniami muzykalnymi ojczystych lub obcych talentów. Pominąć jednak tego nie możemy, iż wtedy Warszawa zapragnęła okazać po raz pierwszy prawdziwą wdzięczność.

Chciano uczcić N. Łuszczewską zbiorowym obiadem. Wybrano w tym celu deputację, złożoną z kilku członków redakcji „Biblioteki Warszawskiej”, artystów i literatów, na których czele wystąpił z przemówieniem członek senatu J. D. Minasowicz, bardzo często nowe *Twory* swoje czytający na wieczorach poniedziałkowych.

Na mowę z serca wprost płynącą, z serca płynącymi słowy odrzekła N. Łuszczewska. Nie potrafimy tych pięknych powtórzyć wyrażań. Ale w obłonce kwicistej myśl jej wypowiedziana była następują:



„Szkoda uczuć przyjaznych i grosza zbiorowego na tak cześć poświęcać uciechy, bo pieniądź publiczny, a zwłaszcza ogółu myślicieli i literatów, na literackie lub wielką myśl wyrażające powinien iść dzieła. Stosowniej by więc było użyć dobrych chęci na wydanie pism ziomka naszego Kopernika, których dotąd w języku ojczystym nie mamy”.

Nazajutrz b. prof. Uniwersytetu Warszawskiego, J. D. Minasowicz, na posiedzeniu redakcji jednego z pism naukowych odczytał nam list N. Łuszczewskiej do niego i zarazem wszystkich adresowany.

Nie posiadamy pierwszej przemowy poety J. D. Minasowicza; ale mamy pod ręką od niego kiedyś daną i własnoręcznie przepisaną mowę, którą odczytał w poniedziałek, już po danej myśli o wydawnictwie pomnikowym dzieł Kopernika i list N. Łuszczewskiej, tak brzmiący:

Jeszcze z sercem przepelnionym całą rozkoszą najtkliwszych uczuć, biorę pióro w rękę, ażeby zwrócić kochanemu panu te tak świetne, tak pochlebne, a przecież tak z duszy płynące wyrazy Jego; powtórzyć to, co mimowolne wzruszenie wczorajsze zbyt słabo oddać mi dozwoliło. Lecz i teraz myślę się; gdyż na próżno chciałabym wyrazić to, cośmy uczuli na tak serdeczne wylanie wszystkich nam przyjaznych; pragnęłabym wszakże, aby każdy z tych kochanych, łaskawych, co względną życzliwość na tak szacowne dowody przychylności i przyjaźni zamieniać umieją; aby każdy z nich usłyszeć mógł choć jeden ton z tego harmonijnego, słodkiego brzmienia rozkoszy i spokoju, w jakim się dusza moja rozplywa. I lubo przechodzi siły moje głos ten na zewnątrz wydobyć, nie wątpię jednak, że nie masz między Wami, Panowie! serca, w którym by odbicia nie znalazł. Zwolennicy poważnych, mozolnych, praktycznych zatrudnień trafiają w głosie tym na strunę porządku, wytrwałości, stałych przedsięwzięć. Tym, co pomniki przeszłości zbierają, słodkie echa z dala przed nimi odpowiedzą. Ci, co tajniki przyrodzenia badają, zrozumieją, że gra uczuć jest równie bogatą, jak gra natury. Kto w filozoficznych zadaniach pociechy szuka, zaczerpnie z uciechą tego pełnego głosu, co piersi ożywia, myśli uszlachetnia. A czyż to nie Wam, natchnieni poeci, wyobraziciele sztuk pięknych, nauk nadobnych, należą się najdelikatniejsze oddźwięki, najokrągłejsze intonacje tego ogólnego hymnu, co z serc do dusz przepływając, wiecznym, a więc boskim brzmi psalmem? Kiedy się więc te wszystkie jednorodne tony, dla obcego tylko ucha różne, we wspólny, silny, zupełny zlewają akord — jakież on nie ma przenikać duszy mej? — Jak nie mam znowu odpowiedzieć głosem wdzięczności, skoro głos ten jest tylko dalszym owej harmonii przedłużeniem? Racz więc, Łaskawy i Kochany Panie! nie tylko przyjąć wyraz moich serdecznych podziękowań za Twoją braterską dla nas przychylność, ale nadto stać się tłumaczem uczuć naszych przed wszystkimi, którzy nam, z taką skwapliwością i ochotą, dali nieoceniony i nigdy nie zapomniany przyjaźni i życzliwości dowód.

(18 lut. 1848 r. N. Ł.)

Zanadto jest obszernym przemówienie prof. Minasowicza, abyśmy je mieli w zupełności przytaczać: nie możemy jednakże wstrzymać się od przywiedzenia tu choć kilku zeń ustępów: — „Ktokolwiek znalazł się, co wtórzył myśli żyjącej w domu Waszym, ktokolwiek do niej zatęsknił, przyjmowano go tu rękoma otwartymi. Znajomi spieszyli jak do swoich. Obcych wyszukiwano po zaciszach. Spod płomyka lampki studyjnej wyprowadzano pod pełne światło towarzyskiego kęketu; nieśmiało dodawano odwagi. Byli, co zbliżając ich do siebie, dołożono warstwy nizinie (*sic!*) — bo tu wszyscy się schodząc tworzyli jedną całość, jednym ożywioną duchem, przedstawiającą myśl jedną... Żeby to sprawić, potrzeba przewagi umysłu, potrzeba siły woli, wytrwałości w czynie; ale to wszystko jeszcze nie byłoby dość: — potrzeba magnetyzmu uczucia. Będzie bez niego katedra, będzie towarzystwo uczonych — społeczności nie będzie. I dla tego cześć kobietom, które jak Ty! Pani! rozumieją, czują i działają!”

Rozszerzywszy się nad wpływem niewiast i znaczeniem ich władzy w dziejach kultury ludzkości oraz nad tym, jaki skutek wywarły odbierane w salonie pani Niny wrażenia przez lat wiele, czyni zresztą zwrot do jej chęci ujrzenia po polsku dzieł Kopernika: „...„Wiemy, co jego myśl natchniona odgadła, a iluż jest tych, co wiedzą, jaka to nić była, co go w tajnikach tych prowadziła; jak myśl snuła się z myśli, póki się nie stała prawdą?”... „Pozwolisz, Pani, że

w dowodzie szacunku, jaki w nas wzbudziłaś, pod wezwaniem Twojego imienia i za Twoją wskazówką, oddamy część tej myśli, która tyle ma u ciebie znaczenia; — połączonymi siły wszystkich, których mamy zaszczyt przedstawić, zajmiemy się, aby przekład polski pism M. Kopernika uczynił je przystępnymi każdemu jego ziomkowi, aby rzeczone w czasie: — I to także winniśmy kobiecie — była nią Nina Łuszczewska.”

Otóż opis zawiązku wydania po polsku dzieł astronoma polskiego, które dopiero wyszło r. 1854, bo pierwaj musiał je na język ojczysty przełożyć uczonej nasz Dyrektor obserwatorium i b. dziekan Szkoły Gł. Jan Baranowski.

To zdarzenie natchnęło ś.p. Jolantę uniesieniem poetycznym o Koperniku, dla którego poświęciwszy sześć strof, kończy wiersz takim do Matki zwrotem:

O jak serce się rozplywa!  
Ta, co pierwsze zapagnęła  
Rozsiać w swej mowie te dzieła,  
Matką moją się nazywa! (...)

Ujrzym wkrótce myśl Twą w czynie!  
Praca znawców ją rozwinie —  
Wola stała, sztandar czynów  
Okryje wieńcem wawrzynów  
Myśl tak wielką — co w zdobyczy  
Wdzięczność wieków odziedziczy!...

Zgodzić się ze wzniosłymi córki uczuciami wysnutymi z pięknych zamiarów matki, łatwo nam wszystkim, bo one są godne tego, jako prawdziwe.

[...] Niepodobna nam także pominąć korespondencji śp. zmarłej Niny, jako należącej do zgromadzenia Arkadyjskiego z wielu włoskimi pisarzami: widzieliśmy listy Sylwiusza Pellico (z Turynu pisane); wiersze do niej G. Rigaldiego z Neapolu; Józefiny Poggiolini z Mediolanu i towarzyszkę jej arkadyjskiej Róży Taddei, improwizatorki rzymskiej.

Nina Łuszczewska nadzwyczaj wiele czasu poświęcając wychowaniu córek i czytaniu wszystkich prawie rozgłośniejszych nowości literackich, mniej się oddawała ogłaszaniom w druku niepospolitych pomysłów, które nieraz w rozprawach z najuczeńszymi ludźmi płynęły z jej ust tak potoczysto, jakby z księgi czytane były. Znamy jednak prozą wzniosłe jej opisy Krakowa, myśli powstałe w obserwatorium astronomicznym i Magdalenę (w rodzaju opowieści). Próbowala i wiązanej mowy: były to *Dumania*, *Modlitwy* (jedna z nich św. Teresy z dewizą: Cierpieć lub umrzeć), aforyzmy, wierszem i prozą itd. Drukowała z prac swoich w „Pielgrzymie” pani Ziemięckiej przekład z dzieł św. Teresy: *Rozmyślenia nad modlitwą Pańską, Ojczyzna Nasza!* (1845 r. w t. II od str. 305).

Chociaż Nina Łuszczewska nie ubiegała się nigdy za rozgłosem stawy literackiej, tym bardziej zaś unikała druku pism swoich, wszakże jej dwa wierszyki o przeznaczeniu mężczyzny i niewiasty tak często bywały powtarzane i przez wiele osób przepisywano, że z tego powodu pewnym odmianom i przeinaczeniom ulegały. Dlatego kładziemy je tutaj z oryginału przez nas posiadanego:

#### *Przeznaczenie kobiety*

Kochać w milczeniu — mówić w spojrzeniu,  
Cierpieć w westchnieniu — żyć w poświęceniu.

*Przeznaczenie mężczyzny*

Mądrości berło piastować,  
Miłością ludzkość owionąć,  
Potęgą czynu panować,  
A duszą — w Bogu utonąć!

## FELICJAN FALEŃSKI

### *Wspomnienia z mojego życia*

Tylko co wspomniałem Łuszczewskich. Wprowadził mię do nich Ignacy Komorowski. [...] Właśnie wtedy pojawiła się była Deotyma i cudownymi istotnie improwizacjami swymi szalone tłumy do domu rodziców ściagała. Rzeczywiście w tych niewielkich trzech pokojach (w lewym skrzydle Pałacu Saskiego, gdzie jest środkowy balkon od strony ogrodu) bywało po dwieście osób, tak że nie tylko siedzieć, ale i stać nie bardzo było gdzie; na szczęście jedni wchodzili, wychodzili drudzy. O salonie tym dużo byłoby do powiedzenia, zasługa jego jest niezmierną. Istniał lat dwadzieścia kilka, przeżył najprzykrzejsze chwile i ocenić należy poświęcenie jego gospodarzy, którzy dla owych poniedziałków sami wyrzekli się wszelkiej zmiany trybu życia i — rzecz można — do bruku warszawskiego przyrośli. Zgromadzał się tam wybór towarzystwa, istotnie to, co kwiatem jego zwać się godzi — arystokracja rodu, pieniędzy, inteligencji, sztuki wszelakiej. Słowem tacy, którzy by się nigdy w życiu z sobą nie zeszli, tam spotykali się i zawiązywali stosunki.

Na tych wieczorach, bywało, panie usuwały się wedle północy, po czym podawano cygara i papierosy, a w parę godzin zostawała już tylko garstka nieliczna na poufalszą pogawędkę. Wtedy to dopiero istotnie się bawiono. Ktoś grał lub śpiewał, lub czytał, przeglądano najnowsze książki, zawiązywała się rozmowa ogólna, zwykle pouczająca, a w każdym razie jak najmniej powierzchowna.

Przypomina mi się z tej okoliczności następujące opowiadanie Szymanowskiego. Raz, kiedy w powrocie od Łuszczewskich pod wpływem improwizacji Rzewuski, nie mogąc się uspokoić, Deotymę niezrównanym nazywał geniuszem, Szymanowski powiada: „E, to nic tak nadzwyczajnego, ja tak samo potrafię. Niech mi hrabia poda jaki temat, a ja podejmuję się z tego powodu gadać wierszami, aż dopóki w gardle nie zaschnie”. „No dobrze. Niech będzie: dajmy na to — obiad czwartkowy u króla Stanisława”. Siadł w fotelu, zawinął się w szlafrok i słucha, aż wreszcie zasnął i chrapie. Wtedy Szymanowski buch pięścią w stół, aż się wszystko zatrzęsło, a tamten zrywa się na równe nogi: „Co to takiego?”

A to właśnie wchodzi Tremo,  
Mówiąc swą postacią niemą,  
Pożądane wszystkim słowa,  
Że już zupa jest szczawiowa.

„Jak to? i ty ciągle gadałeś wierszem,” „A jakże. Czy mam dalej ciągnąć” „Nie, nie, już będzie dosyć. Widzę z tego, żeś ty geniusz. No, chodźmy spać”.

Co do improwizacji owych, byli tacy, co je poddawali w wątpliwość, ja jednak śmiało twierdzę, że się mylili. Deotyma istotnie posiada ten dar nadzwyczajny (nie wiem, czy dotąd); Bóg wie, ile razy później nawet miałem sposobność sam to sprawdzić. Tajemnica formy dla niej nie istnieje, ma ona jakiś niepojęty dar szykowania sobie zdobyczy swoich naukowych w dziwnie harmonijne porządki, z których, jakby za najlepszych czasów greckich tworzą się godne czci świątynie.

Poza obrębem tego daru jest to osoba mierna całkiem. Właśne sądy jej o rzeczach sztuki są tuzinkowe, w życiu zaś codziennym zdaje się chodzić omackiem i nigdy jeszcze nie trafiła, gdzie potrzeba, a raczej zawsze tam zaszła, gdzie się jej najmniej spodziewać godziło. Na pogrzebie pięciu poległych niosła koronę cierniową i *improwizowała Dzwon*

*zmarłychwstania*, a w jakiś czas potem zrzuciła żałobę narodową i nie wiedzieć po co bywała w Zamku i w Łazienkach. Później, kiedy pomimo tych wszystkich objawów lojalności ojca jej wywieziono, pojechała z nim dobrowolnie; i to się jej chwali. Ale dlaczego zaraz po powrocie poczęła znowu uczęszczać do Zamku (na którym już nawet nie księżę Konstanty ani Wielopolski siedział, ale taki krwawy oprawca kraju, jak Berg wiekopomny, który jeszcze w dodatku ojca jej wywieźć kazał)? Tego nikt nigdy nie dociekł.

Następnie, po śmierci rodziców, jak bądź byt miała aż nadto zapewniony, ni stąd, ni zowąd osiadła na rezydencji u niejakiego Wolffa, wielkiego brudasa, który w ciągu lat kilkunastu z niczego zrobił kilka milionów majątku. Zdaje się, że na dnie tego wszystkiego próżność siedzi, odziedziczona po matce, dręczonej zawsze żądzą oryginalności oraz cierpiącej chroniczny brak taktu. Deotymie wiecznie się wydawało, że jest czymś tak wielkim w narodzie, że nie tylko nie może robić tego, co drudzy, ale owszem, drudzy powinni robić to, co ona. Nie bez tego, żeby się tu i zamięłowanie zbytku za coś nie liczyło. U tych Wolffów mieszkając, urządziła wieczory sobotnie, na których występowała w charakterze królowej, mającej swój dwór symboliczny i porozdawane godności. Dygnitarze tego osobliwego dworu nosili odpowiednie godła w dziurce od guzika. Składał się on z samych niedorostków, wśród których jednak stary Odyniec nie wstydził się nosić ucho (jako niby spowiednik) oraz Skimborowicz książkę (jako bibliotekarz). Śmieszność dochodziła tam do zenitu. Niejakiego Miłkowskiego (podobno szambelana jej królewskiej mości), bardzo lichego smarkacza i po trosze nawet rzezimieszka, wcale jednak nie za te jego sprawki, ale za jakieś duchowe przemieszanie, publicznie tam dekapitowano *in effigie*, to jest ucięto głowę jego fotografii. Zresztą wszystkim jest znana pocieszna uroczystość uwieńczenia przez Deotymę Prądzyńskiego, autora *Praw kobiety* (ten — trzeba także komicznej Nemezy! — w czas niedługi potem, wplątany po uszy w słynne przekradanie okowity, zmuszony był wziąć nogi za pas i bodaj czy się z tego wydobył).

Na wieczory te przychodzić należało ubranym jak na bal, sama gospodyni (*risum teneatis*) pilnie tego przestrzegwała. Z tego powodu o brak białego krawata miał z nią bardzo przykre zajście hr. Stanisław Zamoyski, tak że się zrzekł przyjść tam więcej; co prawda niepotrzebnie i wprzód tam chodził. Nareszcie zaprowadziła tam czytanie swoich utworów, które już wszyscy znali z druku. Wtedy, bywało, wznoszono jej tron ponad głowami obecnych, na tym ona uroczystość zasiadała (na wzniesieniu) i rozpoczynała ową ucztę duchową, która trwała czasem parę godzin bez przerwy. Że zaś wielki ścisk tam panował, a z nim zwrotnikowe gorąco, wielu tedy zasypiało i ci bardzo źle bywali notowani. Na te uczy wiecznie zapraszała Berga i nareszcie jedną z takich raczył obecnością swoją zaszczyścić. Rzuciło to postrach na całą dzielnicę, ten Jowisz bowiem zjechał tam, jak zwykle, w otoczeniu Czerkiesów, policja zaś obsaczyła tymczasem wszystkie wejścia i wyjścia. W innym czasie nawiedziny podobne byłyby raz na zawsze salon wieszczki opróżniły, ale dziś pozbyto się już niejednego przesądu, zresztą i towarzystwo tam bywało stosownie dobrane.

Nadskakiwania te — pokazało się wreszcie — nie były bynajmniej bezinteresowne. Jakoż uwieńczone zostały dożywotnią pensją 1500 rubli, które wieszczka (równie jak i Odyniec — trudno wiedzieć, za co) od rządu pobiera. Takich smutnych wypadków można by i więcej naliczyć. Niedawno temu, kiedy umarł kasztelan Dembowski (ostatni z kasztelanów, jak się o nim niechcący nader trafnie wyraził Skimborowicz), człowiek nie bez zasług niegdyś dla kraju, ale dziwnie rozpustny i nierządny i przeto sponiewierany wieczną u rządu żebraniną, Kotzebue kazał go pochować swoim kosztem, a za to karty pogrzebowe były po rosyjsku i Własow całym obrzędem osobiście kierował. Policja też rozpędzała wierzących i rozmaite jejmoście, używając opieki córce nieboszczyka, która zaraz po śmierci ojca pobięła prosić o to do Zamku.

Od niejakiego czasu już te przyjęcia ustały. Sądzę, że miały na celu reklamę dla Wolffów i porobienie im stosunków, ale to — jak się zdaje — chybiło. Doprawdy, rzecz przykra nawet

powiedzieć, do jakiego stopnia Deotyma się w tym względzie zapominała. Raz zastałem ją na wieczorze u Januszostwa Rostworowskich. Tam bawiono się nią w jak najlepszym tonie, nareszcie, wiedząc, że tego tylko pragnie, proszono, żeby co swego zadeklamowała. Wtedy na jej skinienie lokaj wniósł grubą torbę, w której się mieściły wszystkie jej poezje; i z tych wybrawszy jedną (na początek), rzekła bardzo majestatycznie: „Pieśń błękitna, przypisana serdecznej mojej przyjaciółce, Eugenii Wolff...” Wtem, zwracając się do Zofii Ossolińskiej: „Pani nie zna Eugenii Wolff? O, pani! życie tej kobiety jest jedną ciągłą poezją!” Tu dopiero poczęła wyliczać wszystkie jej cnoty, zupełnie na podobieństwo komiwojażera zachwalającego próbki barchanów albo markę wdowy *cliquot* (mówiąc nawiasem, ta osoba o nieustającej poezji w sam dzień ślubu z jakimś ukochanym młodzianem, kiedy się z nagłą Wolff jej oświadczył, bez namysłu zerwała z tamtym i za tego poszła, bowiem tamten był sobie tylko urzędnikiem w Nieszawie, ten zaś, choć i Żyd, i okropnie brzydki, i — jak się powiedziało — brudas niepośledni, ale miał już gruby worek, do którego coraz więcej rubli przybywało). Nie, ta torba z próbkami uczucia, wożona po wszystkich drogach, to rozdanie przy nich adresów było dla mnie czymś tak dojmująco przykrym, że byłbym się pod ławę schował ze wstydu. Przypuszczać się godzi, że Deotyma poczyna już sama siebie przeżywać. Za dowód posłużyć może jej powieść *Na rozdrożu*, która na niewidziane na wagę złota jak zwykle zapłacona, w rzeczywistości okazała się być kotem w worku, zdolniejszym poodstraszać prenumeracyjne myszy, aniżeli choć jedną przywabić i schwytać, jak na to liczono.

Improwizacje te jednak od razu z niezmiernym a jednozgodnym przyjęto uniesieniem. W następstwie rodzicom Deotymy (a pewnie i jej także) dziwnie uderzyły do głowy. Łuszczewscy oboje nigdy nie grzeszyli zbyt kłopotliwym taktu; przyszło tedy do tego, że kiedy te utwory krytyka na zimno rozbierać poczęła i nieco umiarkowanie przed nimi bić czołem, brali to za osobistą urazę. Wtedy Niewiarowski jakąś dowcipną parodią improwizacji dobrowolnie drzwi sobie ich salonu przed nosem zatrzaskał. Mniej dobrowolnie spotkało to Szymanowskiego, który, dziwnym duchem sprzeczności, w oczy kładąc im niepomiernie (tak, że każdą improwizację w „Dzienniku” zamieszczoną kazał odbijać złotymi czcionkami na różowym papierze), jednocześnie tu i ówdzie ośmieszał Deotymę, sam improwizując jej wzorem w sposób pocieszny, do czego ma istotnie talent znakomity. Co gdy do nich doszło, po prostu zalecili lokajowi ze schodów go zrzucić, gdyby się zjawił. Nie wiem już, jakim sposobem w czas jakiś znowu sobie drogę na tych schodach do góry utorował, niemniej pewnym jest, że do łaski wrócił i odtąd stale już przy niej pozostał. Stało się wreszcie, że Prusinowski, zatrzwożony bezwzględny bałwochwalstwem krytyki, wystąpił w „Gazecie Warszawskiej” z trzeźwiejszym nieco poglądem oddając rzecz pod miarę i wagę. Zrobił to — jak mówiono — z naprawy Kraszewskiego, ale pewności o tym nie było, a niemniej za pierwszej tego ostatniego w Warszawie bytności Łuszczewski nie omieszkał publicznie a ostro mu to wymówić. Kraszewski słusznie się tym obraził i nie było nikogo, kto by nie wziął jego strony. Już to też nareszcie próżność tych ludzi doszła była do szczytu śmieszności; ale bodaj czy nie głównie w tym winno nadmierne dworactwo tych, co niemal byli ich domownikami. Święcki (jeśli się nie mylę) zrobił był popiersie Deotymy, Kaniewski wymalował ją w zachwycie, z twarzą pełną jasności nadziemskiej, Simmler improwizującą w wieńcu laurowym, w otoczeniu dwóch geniuszów spisujących na kolanach jej słowa. Do wszystkich tych portretów pozowała w stroju greckim, bo już weszło było w zwyczaj, że do popisów swoich wieczorowych występowała w coraz jakimś innym przebraniu. Stawało się to coraz pociesniejsze. Nareszcie doszło do tego, że obie z matką przebrały się w stroje pielgrzymkie i tak chodziły po mieście, nie używając już innego ubrania. Potem zaczęły robić wycieczki artystyczne, urządzać popisy (jak to między innymi miało miejsce w Krakowie).

W jednej z takich, w Paryżu, na samym schyłku r. 1860, a więc niemal o świcie gotujących się wypadków, wypowiedziała Deotyma (Do młodzieży w Batignollach) jedno z najświetniejszych swoich uniesień twórczych, prawdziwie pindaryczne arcydzieło, pełne proroczego jasnowidztwa: niestety! na tym, zdaniem moim, zawód swój poetyczny najzupełniej zakończyła.

Aż nareszcie, skutkiem tych częstych nieobecności w domu, owe słusznie słynne niegdyś u nich poniedziałki, powoli straciwszy znaczenie, z czasem całkiem ustały.

Śmierć Skimborowicza, a następnie Odyńca najzupełniejszy przewrót w przyjęciach Deotymy sprowadziła. Zawalenie się tych dwóch filarów tronu na dobre jej wyszło. Zeskromniała, z wolna kółko dworaków się rozpierzchło i nareszcie sama szukać poczęła dawnych zaniedbanych stosunków. Jakoż na obchodzie jubileuszu Zachariasiewicza zbliżyła się do nas i po starym szczerze prosiła o powrót do dawnej przyjaźni. Nawiązało się to tym łatwiej, ile że wszelki nastrój uroczysty jej salonu bezpowrotnie w mgłę się rozwiął. Wreszcie z wiekiem przyszło niezdrowie, aż i obecnie coraz silniej jest cierpiącą i prawie już chodzić nie może. Garstka odwiedzających ją coraz się ścieśnia. Czasem zastać ją można najzupełniej samą. Z tym wszystkim nic nie robi dla ulżenia sobie cierpienia. Po dawnemu nocami żyje, nadmiernie pracuje; zachowała jednak całą żywość umysłu, a nawet — powiedzieć można — bardzo jej jakoś wypogodniała dusza, co bywa tylko wyższych usposobień udziałem.

## ANTONI ZALESKI

### *Towarzystwo warszawskie*

Typem salonu literackiego Warszawy były głośnie w swoim czasie „czwartki” Deotymy. Dziś tak jak nie istnieją już one, ale dawniej w pierwszych latach po powstaniu miały one wielkie powodzenie i ważyły na szali towarzyskiego życia naszego miasta. Bywało tam mnóstwo osób z najrozmaitszych sfer, literatura spotykała się z finansami i arystokracją, obywatele wiejscy z mieszczanami, lekarze, urzędnicy, inżynierowie z profesorami uniwersytetu i uczonymi, młodzież z artystami wszelkich gałęzi, panny z epuzerami, a wędrujące piękności z gronem wielbicieli. Wszystko, co miała Warszawa w jakimkolwiek kierunku wybitniejszego, przesuwano się przez te salony, a świat modny i elegancki uważał za rzecz szyku bywać na „czwartkach”. Mamy wprowadzały tam panny, młodzież szukała stosunków. Tłoczono się też na schodach, w przedpokoju trzeba było czekać kolei, aby dostać się do drzwi, a w salonie gwaro, huczno, strojno, panie w wielkich toaletach, panowie we frakach i białych krawatach, z miną poważną, uroczystą, jak na recepcji dworskiej. Przez parę lat salony Deotymy były tak uczęszczane i modne, że aż ówczesny namiestnik hr. Berg zapragnął je zobaczyć, i sama widziałam, jak ta stara mumia o mało nie spadła z krzesła, drzemiąc podczas czytania *Wandy* czy jakiegoś innego poematu gospodyni.

Na końcu długiej sali wisi portret wieszczki pędzla Simmlera, przedstawiający młodzieńką panią w fantastycznym greckim stroju, gdy w chwili natchnienia improwizuje... Pod portretem stał na podniesieniu tron poetycki, srebrną i złotą lamą przybrany. Obok stolik, a na nim siedmioramienny świecznik jerozolimski, dar wielbicieli talentu. Gdy nadchodziła chwila czytania, wieszczka w otoczeniu dworu ukazywała się na sali. Najprzód szli marszałkowie, później szambelanowie, w końcu paziowie. Majestatycznym krokiem przechodziła wieszczka salony i zasiadłszy na złotolitym tronie zaczynała czytać... Dokoła uroczysta cisza. Wszyscy w błogim uniesieniu słuchali szmaragdowych wierszy poematu, każdy chwycił wątki losów *Wandy*...

Po skończonej deklamacji następował *cercle*. Wieszczka obchodziła kolejno swych gości, starając się od każdego wydobyć o przeczytanym ustępie zdanie. Sypały się więc pochwały i komplementy, prześcigali się w nich literaci i profani; im kto mniej rozumiał, tym więcej chwalił, każdy bał się otwarcie zdanie swe wypowiedzieć, bo byłoby to niegrzecznym względem damy oraz gospodyni, i niebezpiecznym, gdyż marszałkowie i szambelanowie słuchali głosu ludu, a gdyby który z tych głosów śmiał być nieprzychylnym, można było stracić łaskę i nie dostać na drugi czwartek zaproszenia... Więc pokorna rzesza piała hymny pochwalne i zewsząd rozlegała się woń kadzidła...

Mój Boże! nie takie to dawne czasy, a jak się wszystko zmieniło. Kiedy Deotyma było modną, cały świat tłoczył się na jej salony. Szambelańskie jej klucze nosiło wielu takich, co dziś głośnie mają w literaturze nazwiska, a nie sądzę, aby te tytuły i urzędy były moim wymysłem. Nie, one istniały naprawdę, a urzędnicy dworu królowej poezji nosili nawet przy frakach godności swej oznaki... Była to zabawa zapewne pretensjonalna, ale ostatecznie dla nikogo nieszkodliwa i nie zmniejszająca bynajmniej znaczenia, jakie w poezji i literaturze polskiej ma Deotyma. Powiem więcej nawet, popularność ówczesna jej czwartków była wynikiem nie tylko mody, ale czasu, w jakimżeśmy żyli... Po powstaniu wszystkie zabawy ustały, przez parę lat nie tańczono wcale, nie zbierano się nigdzie liczniej i huczniej. Więc tę lukę towarzyską zapełniały wieczory Deotymy. Miały one tradycje salonów jej matki, miały wykwiłtne towarzystwo, dużo pięknych i wesołych pań, ładne dekoracje, urok głośniego



imienia poetki i improwizatorki... A przede wszystkim były prawie jedyne, a więc przez to samo niezmiernie ponętne. Po kilku latach jednak moda minęła, „czwartki” zaczęły się przeredzać, odczyty nudzić... „Czwartki” Deotymy nie były więc właściwie nigdy salonem literackim, lecz raczej salą prelekcyjną. Ona jedna zabierała w niej głos, jej tylko słyszano tam utwory. Zrazu słuchało tych prelekcji całe miasto, później tylko pewne jego sfery, potem wierni, a w końcu mała garsteczka najwierniejszych, którzy zdołali wytrwać.

„Czwartki” jednak przejdą do literatury pamiętnikowej, bo ostatecznie poza wszelką przesadą miały one wiele stron dobrych, zaznajamiały i jednoczyły ludzi, były w chwilach powszechnego rozbicia towarzyskiego, kiedy każdy w domu siedział i od świata stronił, jedynym prawie punktem zbornym i neutralnym...

## CZESŁAW JANKOWSKI

### *Z czeczotkowej szkatułki*

Któż by, jeśli nie Odyniec, miał mnie wprowadzić do salonu Deotymy?

Krażyły o nim całe legendy. Niestety, w 1878 r., żadnego już tam „dworu” nie było, żadnych szambelanów, ochmistrzów i innych dostojników piastujących tę lub ową rangę admiracji dla pani domu, fenomenalnej improwizatorce. Czas był też już przeminął improwizacji „na zadany temat”. Deotyma nie improwizowała już wcale; główną atrakcją jej czwartków było odczytywanie głośno przez autorkę kolejnych rozdziałów powieści historycznej *Branki z jasyru* w miarę ich tworzenia.

Salon Deotymy posiadał jeszcze celniejszą atrakcję. Zbierało się tam czwartkami towarzystwo, uchodzące za elitę inteligencji warszawskiej, a należeć do tej selekcji po czytywano za zaszczyt, o który wielu ubiegało się — nadaremnie. Ponadto można było być pewnym spotkania raz po raz w salonie Deotymy to tej, to owej wybitnej osobistości „zza kordonu”, co również niepomiernie każdy w owych czasach sobie cenił. Słowem: bywać „na czwartkach” u Deotymy było dystynkcją równie zazdrości godną, jak w rozliczne powaby obfitą.

Można było za tę cenę... wysłuchać półgodzinnego czytania *Branek z jasyru*, co je ten i ów zwał — na ucho — „Grzanki z serem”... a niesłusznie! Powieść to bowiem piękna i dostojna. Rzuciła w nią na domiar Deotyma moc erudycji jak najbardziej solidnej i ciekawej. Niepospolicie gruntownie wykształcona, zamiłowana w „szperaniu” jak rasowy mól książkowy, przestudiowała wszczegółowo i wzdłuż całe europejskie głębokie średniowiecze, tudzież ówczesną — tatarszczyznę, wtapiając ów cały balast w akcję rozwijającą się żywo i efektownie. Toteż po czytaniu wywiązywała się często dyskusja na temat tego lub owego szczegółu — zawsze ciekawa, a prowadzona, bywało, przez wysokie autorytety dziejo- i ludoznawcze. Tejże erudycji wysokiej rangi hołdowała Deotyma z lubością w poemacie *Sobieski pod Wiedniem*, odczytywanym gościom czwartkowym w lat kilka po *Brankach*. Niech też przy sposobności położę mocny nacisk i na zgoła niepospolite zalety poetyckie *Sobieskiego*. Są tam całe szeregi strof, które by powinny po wszystkie czasy figurować w antologiach jako wzory wręcz przepysznej w monumentalnych swych kształtach polskiej mowy wiązanej. Nie przechodzi się mimo Deotymy nie uchylivszy głęboko kapelusza...

Z improwizowaniem był już — jak się rzekło — koniec. Improwizującej Deotymy nie słyszałem. Instykt subtelnej delikatności dyktował nie wspominać o dobie tak odległej. Toteż raz tylko w mojej obecności ktoś się wyrwał. Deotyma nie podniosła tej niewczesnej ciekawości — pomilczała — uśmiechnęła się, jak się uśmiecha do kogoś bardzo drogiego, znikającego z oczu na pokładzie statku lub w oknie wagonu — i zaczęła mówić o czymś innym.

Wieszczey epoki ślad pozostał tylko — na honorowym miejscu w ogromnym salonie o meblach krytych jasnożółtym jedwabiem. Był to znany, w całej postaci, wielki portret Deotymy w powłóczystej białej szacie wieszczki-improwizatorce, miłowany przez Simmlera. Umieszczony był jak obraz w wielkim ołtarzu nad pryncypalną kanapą w głębi. Tak w reprezentacyjnych salach pierwsze skrzypce gra, budząc nastrój odpowiedni: portret monarszy.

Rozpoczynały się „czwartki” bardzo późno. Po Teatrze. Frak i biały krawat były obowiązkowe. Odstraszało to niektórych sędziwszych luminarzy towarzyskich; lecz regulamin nie znał żadnych wyjątków. Panie przychodziły w tualetach rautowych.

Wcale obszerne zajmowała Deotyma apartamenty pierwszego piętra na rogu Marszałkowskiej i Królewskiej w domu najserdeczniejszej przyjaciółki swojej p. Emanuelowej Wolffowej. Z przedpokoju wchodziło się wprost do „czerwonego” salonu o pluszowych, ciemnowiśniowych meblach, oświetlonego jedną, pod ogromnym abażurem, wielką, stojącą lampą, rzucającą intymną jasność na duży stół przed kanapą, gdzie odbywał się *cercle* prezydowany przez panią domu. Reszta salonu tonęła w cieniu. Rozmowy toczyły się — jakby to się wyrazić? — akademicko. Nie było przyjętym: unosić się, a tym bardziej spierać. Wskazana była, i tolerowana przez panią domu, jedynie, wymiana zdań. Lecz było co posłuchać... Poruszano najżywotniejsze sprawy publiczne. Literatura „zakordonowa” była raz po raz na tapecie, że wielu dowiadywało się o tej lub owej książce, o tej lub owej broszurze tam właśnie, na *cercle'u* w Deotymy czerwonym salonie. Stąd rozchodziły się po Warszawie najsensacyjniejsze, bywało, wieści...

W regulaminowym było zwyczaju, aby ktoś z bardziej poufanych gości, zazwyczaj Odyniec, Adam Pług lub Zygmunt Sarnecki, odezwał się, prosząc gospodynię domu o łaskawe uraczenie towarzystwa dalszym ciągiem narracji. Apostrofa powinna być mieć charakter spontaniczny. Aby nazajutrz w gazetach mogła być mowa o „uproszonej” przez towarzystwo i „skłaniającej się” autorce *Branek*. Owóż uproszona Deotyma, skłaniając się do naszych nalegań, podnosiła się z miejsca... To było hasłem do przejścia do wielkiego „żółtego” salonu.

Szło się doń przez salonik „turecki” z przepaścistymi dokoła ścian otomanami, ku którym ciągnęło zawsze „młodsze towarzystwo”, bo wiedzieć trzeba, że panienkami co przystojniejszymi i kawalerami co rozmowniejszymi i elegantszymi lubiła Deotyma *assamble* swoje przeplatać. Młodość miała dla niej nieprzeparty urok; nosiła ją w sercu — i trzymała w zbawiennych korbach.

Nikt też jak Deotyma nie potrafił w ogóle w takiej karności trzymać towarzystwa, tak niepostrzeżenie a nieugięte narzucać mu swego... *regime'u*, tak bez najmniejszej impozycji urabiać. Była to w wielkim stylu *grande* dama o wytwornych manierach, nadająca ton, choćby najszerszemu i najróżnorodniejszemu otoczeniu.

Rychlej niskiego niż wysokiego wzrostu, wcale tęga, nie miała w postaci swej nic imponującego - oprócz nieskazitelnie dystyngowanego gestu, ostrego, bywało, spojrzenia i... uroku wielkiego imienia. We czwartki miała nieodmiennie na sobie suknię aksamitną, czarną, gładką z trenem; na pięknym biuście kolie z przepysznych szmaragdów, także szmaragdy w uszach; czarną koronkę na wysokim, z czoła, uczesaniu. Piękną nie była. Wrażały się szybko w pamięć duże, regularne rysy. Oczy szaro-niebieskie, małe. Lekka w głosie afektacja.

Z chwilą gdy towarzystwo przekroczyło próg tureckiego saloniku, wnoszono wagę i rodzaj pękatek, z uszkiem, kufelków z misternie szlifowanego szkła. Z wazy dymił poncz zwany przez wszystkich „lawą”. Jednocześnie podawano — czasem — torty i lody. Rozlewał lawę przez długi szereg czwartków bliski krewny Jadwigi Łuszczewskiej, p. Edmund Krzymuski wówczas młodzieniec w związku dopiero życia, późniejszy luminarz Wszechnicy Jagiellońskiej i rektor. Z kufelkiem lawy w ręku przechodziło się do wielkiego salonu, oświetlonego *a giorno*.

Towarzystwo rozsiadało się po niezliczonych kanapkach, kozetkach, fotelach. Gdy się niespodziewanie wiele osób zebrało, służba wносиła krzesła wyplatane o wysokich oparciach, niemiłosiernie niewygodne. Komu los zdarzył usiąść na takim „gotyku” i przesiadzić na nim wyprostowany z kufelkiem lawy w ręku z pół godziny albo i dłużej — ten się miał z pyszna!

U lewej ściany salonu, na okrągłym, ciężkim, suto rzeźbionym stoliku palił się monumentalny, wieloramienny kandelabr — dar upominkowy gości czwartkowych sprzed lat. U tego stolika, w ciepłym świetle świec kandelabrowych, siadała Deotyma i zaczynała czytać.

Czytała — z rękopisu — dobitnie i płynnie — modelując prozę akcentami nie pozbawionymi czasem afektowanej naiwności, wiersz zaś recytowała pięknie, spokojnie,

nigdy nie zawadzając o deklamację. Słuchano, oczywiście, z nabożeństwem. Wolno było dać w trakcie czytania lekki wyraz wzruszeniu lub zachwytowi... byle nie za głośno i nie w miejscu — niewłaściwym. Gdy, bywało, z której kanapy lub fotelu nastąpił jakiś niewczesny wybuch nadmiaru wrażeń, Deotymy oczy, nadrywając się od trzymanego w rękę manuskryptu — strzelały tam piorunem.

A niechże kto, Boże nie daj, w krzesło trącił, chrząknął, kichnął, a — co już było ostateczną katastrofą — zagadał do sąsiada lub sąsiadki! Dwa, trzy godziły w niego spojrzenia. Od czwartego byłby chyba trupem padł.

Czytanie skończone.

Następują dziękowania, unoszenia się oraz zapewnienia, że to, co się słyszało, prześcignęło wszystko, co dotąd poczytywano za ostatnie słowo pisarskiego kunsztu i polotu ducha. Celował w tych kurtuazjach i madrygałach Zygmunt Sarnecki, wówczas już nieco schodzący z pola jako autor dramatyczny, lecz rewanżujący się dużymi wpływami w prasie jako redaktor codziennego „Echa”. To co był w stanie wypisywać w piątkowym „Echu” o czwartkowej, na Królewskiej, uczcie duchowej — przechodziło wszelką imaginację. Tylko nie Deotymy. Ręczyłbym, że bywały sprawozdania Sarneckiego, które w jej mniemaniu nie osiągały jeszcze maksymalnego napięcia...

Po czytaniu — a była już często druga i później po północy — dłuższych konwersacji nie wszczynano. Rozchodzono się i rozjeżdżano.

\* \* \*

Już-em miał za sobą kilkoletni, prawie stały, pobyt w Petersburgu... już srożyła się wojna japońska... już znowu byłem w Warszawie przy redakcyjnym biurku — a czasy zaczynały być wcale burzliwe. Była druga połowa grudnia 1904 r., kiedym taki oto utrzymał listek:

„W tych dniach ma wyjść z druku dalszy ciąg mego *Sobieskiego pod Wiedniem*. Jeden z pierwszych egzemplarzy chciałam Panu przesłać do Petersburga z gorącą podzięką za przepyszne, niezapomniane słowa, jakie przed kilku laty wyczytałam w „Kraju”, a którymi pióro Pańskie tak cudnie ozłociło początek tej pracy. Tymczasem dowiaduję się, że Pan wrócił nam do Warszawy...”

W kilka dni potem prosiła mnie Deotyma, abym ją odwiedził, gdyż chce mi osobiście pierwszy tom *Sobieskiego* doręczyć. W dopisku — uwaga: „Ostrzegam, że z rozkazu policji nie wolno p o z a c h o d z i e s ł o ñ c a mieć dwóch wejść otwartych w jednym domu. Tak więc drzwi od ulicy Królewskiej, prowadzące do moich schodów, bywają zwykle w godzinach wieczornych zamykane; wprawdzie na czwartki wyrobiłam sobie pozwolenie, ale też stawiam tam umyślnego strażnika. W inne wieczory wchodzi się do mnie przez bramę od Marszałkowskiej, do drzwi w dziedzińcu”.

Tak rozpoczęła się druga seria moich, dość już odtąd częstych, bywań u wielkiej poetki — nie tylko czwartkami.

A pustka już powoli zaczynała stawać się dookoła niej. Na czwartkowe wieczory przychodziło coraz mniej osób. Ślad ostatnich czwartków Deotymy znajduję w jej kartkach pisanych do mnie w styczniu 1905-go. Wiem, że niebawem potem — urwały się. Ona sama, autorka *Sobieskiego*, coraz szczelniej zamykała się w swoim zaciszu, wykańczając pieśń za pieśnią.

Wczesną wiosną 1905 r., wyjeżdżając z Warszawy — a miałem przecucie, że na długo — poszedłem pożegnać się. Zastałem Deotymę mocno zmienioną. Nie było już śladu przesadnej etykietalności. Widać było „osunięcie się” — w każdym ruchu, w każdym słowie.

„Dzielny towarzyszu spod chorągwi Muz!” — pisała do mnie kilka dni przedtem. Próbowałem i o jej „dzielności” zagadnąć, czyniąc aluzję do wyczerpanej pracy nad *Sobieskim*. Uśmiechnęła się smutnie.

— To mi tylko pozostało... — rzekła prawie szeptem.

## ARTUR OPPMAN

### *Czwartki u Deotymy*

Z zaciekawieniem, a zarazem z pewną jakby nieśmiałością, wybierałem się na pierwszy mój czwartek do Deotymy. Oczywiście znałem doskonale poetkę z jej dzieł, ale dotychczas nie widziałem jej nigdy. Rzecz to naturalna ze względu, iż znakomita improwizatorka od lat kilkudziesięciu nie opuszczała swego mieszkania.

O tych wieczorach literackich, mających swą świetną tradycję w Warszawie i w Polsce całej, naczytałem się. A nasłuchałem niemało. Wiedziałem też, że przez salon Deotymy przesunęło się wszystko, co jaśniało promieniami sławy, laurem zasługi obywatelskiej, wzniosłością duszy. Znany mi był wykwint estetyczny poetki, która zgrupować zawsze umiała przedstawicieli mnogich sfer społeczeństwa w ten sposób, iż zespół tworzył ściśle zestrojoną całość, jakby miniaturową arystokratyczną rzeczpospolitą, której dystygowaną, a natchnioną prezydencką była — Deotyma.

Przyznaję, iż miałem pewne uprzedzenie do obowiązkowego na jej zebraniach balowego stroju; cygan był ze mnie po trosze, i jakoś ów frak z białym krawatem niezbyt mi licowały z prawdziwą poezją i jej wiernymi wyznawcami.

Krażyły też po Warszawie ploteczki o rzekomym tronie, z którego jakoby improwizować miała wieszczka, o jej otoczeniu, czyniącym z poetki wyrocznię delficką, o wyniosłej dumie Deotymy i o świętym obowiązku zachwycania się w czambuł wszystkim, co się z jej ust usłyszy pod karą niełaski i banicji.

I oto, wprowadzony przez długoletniego przyjaciela Jadwigi Łuszczewskiej, który, rzekłszy prawdę, traktował istotnie swój obowiązek jakby wielki mistrz ceremonii, znalazłem się w pracowni przy ulicy Królewskiej, nieco trwożny, bardzo uważny i spragniony ujrzenia wielkiej naprawdę pieśniarki.

Powiem od razu; wrażenie było zupełnie inne od spodziewanego, a nad wyraz dodatnie.

W niewielkim saloniku, przy stole, zarzuconym księgami, z rękopisem *Sobieskiego* w rękę, siedziała w fotelu uśmiechnięta, miła staruszka, z wesołymi, mądrymi oczyma, uczesana, jak babcie nasze, uprzejma, dobrotliwa.

Towarzystwo dnia tego było nieliczne, ale dziwnie dobrane i ujmujące. Siadłem w kąciku i wsłuchiwać się jałem w bogate, przepiękne, rzeźbione po mistrzowsku strofy wspaniałego rapsodu.

Lecz nagle myśli moje odmienną biec poczęły drogą; pieśń kołysała mnie jak melodia, alem słów już nie słyszał, bo przed oczyma stanęły mi czasy bliższe niż odsiecz wiedeńska, i sama autorka *Sobieskiego* wydała mi się legendą, poematem, pamiątką.

Wygnaną z 62 roku, towarzyszącą ojcu na północ daleką, z sercem pełnym rycerskich postaci *Polski w pieśni*, wnuczka pro matce generała Żółtowskiego, napoleonisty, uczestnika herosowych walk, wnuczka po ojcu sekretarza Sejmu Wielkiego i ministra z czasów Księstwa, romantyczka, improwizatorka, wieszczka, Adamowi i Zygmuntovi znana, idealistka w najpiękniejszym znaczeniu wyrazu, wyrosła mi w oczach, jako żywy obraz minionego stulecia, jako uosobienie tego wszystkiego, cośmy przemarzyli, przewalczyli, przetęsknili.

Dźwięczała pieśń o wielkim bohaterskim królu, a jam dumał o tej dziwnej wśród świata krainie, gdzie tacy rycerze skrzydlaci na odsiecz obcym śpieszyli i gdzie o nich takimi śpiżowymi słowy nucą natchnione niewiasty.

A gdym wieczora tego żegnał poetkę, nie raziły mnie już fraki i rękawiczki białe, bom poczuł, że prawdziwa poezja ma coś królewskiego w sobie i że wolno jej mieć swoje monarsze fantazje.

Na czwartkach Deotymy bywałem nie stale, lecz dość często z kółkiem przyjaciół poetów. Czytywała ona poemat swój rycerski, czytaliśmy my, co kto napisał ostatnimi czasy. Ze znanstwem niepospolicie kulturalnej duszy, z odczuciem znakomitej poetki, z wytwornością prawdziwie wielkiej damy umiała ona każdemu z nas powiedzieć prawdę, która tym samym była pochlebna, że wychodziła z ust takich.

Podziwiać należało niesłychaną erudycję Deotymy, jej gorące zajmowanie się wszystkim, co dotyczyło kraju w przeszłości i teraźniejszości, jej znajomość spraw naszych i trafne wnikięcie w sam rdzeń rzeczy.

Wiązało mnie też z poetką i zniewalało dla niej niezłomne uczucie dziecięcego wprost przywiązania do rodzinnego miasta, do tej Warszawy, którą kochała całą siłą młodego do śmierci serca.

Byłem uczestnikiem jej jubileuszu; wypowiedziałem wtedy — wśród innych — wiersz swój, Deatymie poświęcony; w kilka dni później, z cechującą ją wdzięcznością, nadesłała mi wiersz, zatytułowany: *Or-Otowi*, który do najmilszych pamiątek zaliczam.

Pamiętam też, że kiedym napisał i wydrukował utwór pt. *Jak cicho płyną umarli*, poetka w przepięknym liście nakreśliła mi swój pogląd na życie zagrobowe, głęboki, mądry, przemawiający do przekonania, a poetycko tak śliczny, jak najcudniejsza pieśń!

Dziś gdy na trumnę Deotymy spadły już bryły świętej ziemi ojczystej, gdy grób jej zaszypano kwiatami, w sercu swym do kątki pamiątek kładę kwiat nie więdnącego żalu po tej świetlanej postaci poetki-obywatelki i po jej zapadłych już w przeszłość czwartkach, gdzie brzmiały „długie, nocne rodaków rozmowy”...

## NOTA EDYTORSKA

Jadwiga Łuszczewska spisała swoje wspomnienia w r. 1897, na krótko przed uroczystym obchodem czterdziestej piątej rocznicy swojej pracy literackiej, spisała zaś w bezpośrednim związku z tym jubileuszem, już bowiem pod koniec 1896 r. „ze wszech stron zaczęto żądać od niej materiałów do rozmaitych życiorysów i studiów”. Jednym z tych, co „żądali” owych materiałów, był Adam Pług (Antoni Pietkiewicz), główny inicjator i organizator uroczystości jubileuszowych, drugim - mój ojciec Wiktor, pragnący wtedy poświęcić osobne studium poezji Deotymy. Otóż przyszła jubilatka bardzo życzliwie odniosła się do tych propozycji i w niedługim czasie obdarzyła obu kolegów-pisarzy wiernymi odpisami swego pamiętniczka literackiego, nakreślonego *a l'improviste*, ale pomimo tego stanowiącego z pewnością dzieło udane i nader interesujące, a przy tym pełne drobnych, ale skądinąd nie znanych szczegółów i spostrzeżeń związanych z życiem literackim i obyczajowym dziewiętnastowiecznej Warszawy.

Egzemplarz mego ojca, przedstawiający się jako niewielki tomik, w którym oprawiano kilkadziesiąt arkusików papieru listowego szczelnie wypełnionych drobnym kaligraficznym pismem poetki, przepadł razem z całym moim archiwum literackim w r. 1944, bezpośrednio po powstaniu warszawskim. Egzemplarz Pługa został wykorzystany przez właściciela w jego pracy o Deotymie (1900), później zaś — jak się wydaje — posłużył do ogłoszenia pamiętnika poetki w „Bibliotece Warszawskiej”.

Ta ostatnia publikacja: *Pamiętnik Deotymy (Jadwigi Łuszczewskiej)*, „Biblioteka Warszawska” 1910, t. III i IV, oraz osobna odbitka: Warszawa 1910, 95 s., posłużyła również za podstawę edytorską niniejszego wydania, tym jedynie różniącego się od pierwodruku, że poszczególne rozdziałiki (nie: części) tekstu, które w „Bibliotece” były oddzielone od siebie potrójnym asteryskiem, zostały opatrzone teraz kolejnymi numerami (zawsze na początku pierwszego akapitu), sam tekst zaś (opracowany w redakcji „Czytelnika”) — zmodernizowany, zgodnie z obowiązującymi dzisiaj zasadami.

Jedynie emendacje, jakie wprowadzono do owego tekstu, ograniczyły się do poprawnego zapisu kilku nazwisk, zniekształconych na kartach „Biblioteki” (gdzie np. artystę-malarza Antoniego Zaleskiego nazwano Z a l e w s k i m, księdza Krzysztofa Schmida zaś - S c h m i d t e m), a także jednego tytułu (rozprawy księdza Mętlewicza) oraz jednego rzeczownika pospolitego (Konstanty Tyzenhauz był bowiem ornitologiem, nie zaś... m i t o l o g i e m!).

Te same zasady zastosowano przy przedruku materiałów zamieszczanych w *Aneksie*, który oparto na następujących publikacjach:

1. *Magdalena (Nina) z Żółtowskich Łuszczewska i jej salon. Wspomnienie pośmiertne napisał Dr H[ipolit] Sk[imborowicz]*. Warszawa 1869, druk. S. Lewentala, knl. 1, s. 14, tabl. I.

Wykorzystano w tym celu egzemplarz należący do dr Józefa Rybickiego i opatrzony następującą rękopiśmienną dedykacją autora:

P. Emilii Rulikowskiej

*O d a u t o r a*

Kochającej nad wszystko Matkę swą i książki,

Zacisze rodzinne i domowy trud,

Poświęcam szumny opis błękitnej podwiązki,

Co ją jak najszumniej czczył warszawski lud.

Warszawa 16 grud. 1869

H. Sk.

2. Felicjan Medard Faleński, *Wspomnienia z mojego życia*. Oprac. Jadwiga Rudnicka, w: *Miscellanea z pogranicza XIX i XX wieku*. Wrocław 1964, s. 66-71 (Archiwum Literackie, t. VIII).
3. *Towarzystwo warszawskie. Listy do przyjaciółki przez Baronową X.Y.Z.* (Antoniego Zaleskiego). Kraków 1887 t. II, s. 232-35.
4. Czesław Jankowski, *Z czeczotkowej szkatułki. Odgłosy ginącego świata*. Wilno 1926, s. 15-23.
5. Artur Oppman, *Czwartki u Deotymy. Wspomnienie sprzed piętnastu lat*, „Tygodnik Ilustrowany” 1908, t. II, s. 808.

J. W. G.